

O ludziach,
którzy wiedzą
wszystko,
ale nie wierzą
w nic.
„Die Zeit”

JULI ZEH Instynkt gry



Juli Zeh (ur. 1974) zaliczana jest do najciekawszych autorek niemieckojęzycznych. Ukończyła prawo, studiowała również w Instytucie Literatury Niemieckiej w Lipsku. Pracowała m.in. w Nowym Jorku i Krakowie. Jej debiutancka powieść *Orły i anioły* (W.A.B. 2004) otrzymała w 2002 roku prestiżową German Book Award. Dotychczas przetłumaczona została na ponad dwadzieścia języków. Na język polski przełożono także inną książkę Zeh – *Cisza jest dźwiękiem: podróż po Bośni* (wyd. pol. 2004), reportaż z pobytu autorki na Bałkanach. *Instynkt gry*, opublikowany w roku 2005, błyskawicznie dotarł na szczyty list bestsellerów w Niemczech, prawa do przekładu nabyły m.in. wydawnictwa z Francji, Holandii, Włoch, Szwecji, Turcji i Czech, na jego podstawie powstała sztuka teatralna. W 2005 roku Juli Zeh została uhonorowana międzynarodową nagrodą dla młodych autorów – Per Olov Enquist Prize.



JULI
ZEH
Instynkt gry



W serii ukazały się:

- David Adams Richards *Grzech miłosierdzia*
Majgull Axelsson *Daleko od Niflheimu* ·
Kwietniowa czarownica
Aharon Appelfeld *Badenheim 1939* · *Droga żelazna*
John Banville *Zaćmienie*
Attila Bartis *Spokój*
Samuel Beckett *Sen o kobietach pięknych i takich sobie*
Thomas Bernhard *Wymazywanie*
Javier Cercas *Żołnierze spod Salaminy*
Michel Faber *Pod skórą* · *Szkarlatny płatek i biały*
Jonathan Safran Foer *Strasznie głośno, niesamowicie blisko* ·
Wszystko jest iluminacją
Laurent Gaudé *Słońce Scortów*
David Gilbert *Normalsi*
Julia Glass *Trzy czerwce*
Juan Goytisolo *Makbara*
Jan Guillou *Zło*
Michel Houellebecq *Cząstki elementarne* · *Możliwość wyspy* ·
Platforma · *Poszerzenie pola walki*
Daniel Kehlmann *Beerholm przedstawia*
Imre Kertész *Anielska flaga* · *Fiasko* · *Ja, inny. Kronika przemiany* · *Kadysz za nienarodzone dziecko* · *Likwidacja* ·
Los utracony
Michaił Kononow *Goła pionierka*
László Krasznahorkai *Szatańskie tango*
Karel van Loon *Ojciec i ojciec*
Harry Mulisch *Odkrycie nieba* · *Procedura*
Wiktor Pielewin *Generation ,P'* · *Mały palec Buddy* ·
Omon Ra i inne opowieści · *Święta księga wilkołaka* ·
Życie owadów
W.G. Sebald *Wyjechali*
Zeruya Shalev *Mąż i żona* · *Życie miłosne*
Władimir Sorokin *Bro* · *Lód*
Jáchym Topol *Nocna praca* · *Siostra*
Mo Yan *Kraina wódki* · *Obfite piersi, pełne biodra*
Oksana Zabuzko *Badania terenowe nad ukraińskim seksem*
Juli Zeh *Orły i anioły*

JULI ZEH

Instynkt gry

Przełożyła
Sława Lisiecka

w
ydawnic
a
two
b



Edukacja i kultura

Kultura 2000

Publikacja została sfinansowana przy wsparciu Komisji Europejskiej.

Wyraża ona jedynie opinie jej autorów,
a Komisja nie może być pociągnięta do odpowiedzialności
w zakresie wykorzystania informacji w niej zawartych.

Tytuł oryginału: *Spieltrieb*

Copyright © Schöffling & Co Verlagsbuchhandlung GmbH,
Frankfurt am Main 2004

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2007
Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2007

Wydanie I
Warszawa 2007

Dawidowi

*Summum ius, summa iniuria**

* Dosł. szczyt prawa (jest) szczytem bezprawia.

Exordium.

Jeśli to wszystko jest grą, jesteśmy zgubieni

Co by było, gdyby prawnukowie nihilistów już dawno wyprowadzili się z zakurzonego sklepu z dewocjonaliami, który nazywamy światopoglądem? Gdyby opuścili na wpół opróżnione magazyny wartości i ważności, składy tego, co pożyteczne i konieczne, prawdziwe i słuszne, aby ścieżkami dzikich zwierząt wrócić do dżungli, tam, gdzie nie moglibyśmy ich nawet zobaczyć, a co dopiero do nich dotrzeć? Co by było, gdyby Biblia, Ustawa Zasadnicza i prawo karne przestały stanowić dla nich instrukcje i zbiory reguł obowiązujących w grach społecznych? Gdyby pojmowali politykę, miłość i ekonomię jako współzawodnictwo? Gdyby „dobro” oznaczało dla nich zmaksymalizowaną skuteczność przy zminimalizowanym ryzyku strat, natomiast „zło” było wyłącznie czymś bliskim niemal optymalnego rezultatu? Gdybyśmy przestali rozumieć ich motywy, jako że takowe by nie istniały?

Skąd wzięlibyśmy wtedy prawo osądzania i skazywania, a przede wszystkim – kogo? Przegranego – czy też zwycięzcy? Sędzia musiałby stać się rozjemcą. Podejmując próbę zastosowania w praktyce swojej wiedzy i przełożenia prawa na sprawiedliwość, dopuściłby się ostatniego, jaki jeszcze pozostał, grzechu śmiertelnego, czyli hipokryzji.

Wszystko to napisałam, wyłuszczać powody, decydujące o wydaniu pewnego wyroku. Zostało to przekazane sekretariatowi, po czym formalnie dostarczone stronom. Teraz mogę wykorzystać wakacje sądowe, aby uporządkować myśli. Mogę opisać stan faktyczny, nie w skróconej formie, jakiej wymaga wyrok, lecz tak, jak to się wszystko rzeczywiście odbyło.

Skoro jednak decyduję się opowiedzieć o wydarzeniach, w których sama nie uczestniczyłam, których bohaterów prawie nie znam, a o których muszę wiedzieć wyłącznie z powodów zawodowych, nie mogę uciec od pytania, kto ma być narratorem tej opowieści. Jakież „ja” – duch świata, sprawiedliwość czy też najbliższe światu przedstawionemu wielorakie „my”, złożone z fantazjującego autora i jego postaci? Nie podoba mi się ani jedno, ani drugie. Byłaby to nienaturalnie wymuszona odpowiedź na pytanie, na które po prostu nie ma odpowiedzi. Kim bowiem jest to „ja”? Kim „my”? Ten problem zaprzęta ludzkość już od tysięcy lat. Komputer, który miałby go rozwiązać, uznałby, że konieczne jest stworzenie równania, biegnącego w nieskończoność. Kim jesteś? – oznacza dla niego: ile procesów przebiega w tej sekundzie w jego wnętrzu? Gdyby odpowiedział na to liczbą „x”, proces odpowiadania musiałby dodać do tej liczby kolejny proces, tak że przybrałaby ona postać: $x+1$, zatem pierwsza odpowiedź komputera byłaby błędna. Gdyby komputer uznał ten błąd, spróbował się skorygować i powiedzieć: $x+1$, to liczba wynosiłaby już $x+2$ i trwałoby to tak dalej, aż wreszcie komputer padłby, potykając się o leżącą ósemkę, niezdolny powiedzieć, kim jest. Człowiek różni się od komputera zdolnością do niechlujstwa, umiejętnością przechodzenia do porządku dziennego nad danym problemem, jeśli czuje instynktownie, że musiałby zmierzyć się z nieskończonością. Podczas gdy

komputer pada, człowiek potrząsa głową, śmieje się lub płacze, i dalej idzie swoją drogą. Jest to jeden z tych problemów, które najlepiej rozwiązać, zapominając o nich. Zostawiam otwartym pytanie o to, kim jestem. Proszę o zrozumienie i wybaczenie zaistniałych niedogodności.

Przynajmniej pogoda spełnia oczekiwania. Jak na tę porę roku nie panuje ani zbyt ni upał, ani nadmierny chłód, co w sierpniu może w tym mieście znaczyć jedynie tyle, że jest wilgotno i gorąco. Ojczulek Ren wypaca swoje rzeczne wydzieliny, Zatoka Kolońsko-Bońska zbiera je i wekuje w postaci nazbyt ciężkiego musu, osadzającego się na domach, dachach samochodów, plecach i myślach. Ileż dalibyśmy za lekki wietrzyk, świeże tchnienie, wędrujące w górę Renu, z północy, i przynoszące ulgę – powiew morza! Nic nie nadejdzie. Mus powietrzny niczym wilgotny piasek wypełnia płuca i głowy ludzi. Ochłodzenie przyniosą dopiero pierwsze chwile mżawki, kiedyś we wrześniu, gdy przyjdzie mi wrócić do pracy, aby się dowiedzieć, czy po ostatnim wyroku będą jeszcze następne.

Okno mojego gabinetu na pierwszym piętrze wychodzi wprost na ulicę. Idąc przez pół godziny marszem, mogłabym dotrzeć do wyasfaltowanej promenady nadreńskiej, aby doświadczyć wyższości rowerzystów, osób uprawiających jogging, łyżworolkarzy i właścicieli psów nad zwykłym przechodniem. Mogłabym spoglądać w górę ku opuszczonym rezydencjom ambasadorów, które pustymi oknami patrzą ponad rzekę. Mogłabym odwiedzić willę Kahn, naśladowując lekkością francuski zamek, albo okrążyć teren jednej z licznych w Bonn szkół z internatem, której parcela, zastawiona budowlami z czasów grynderskich i wyściełana parkiem, prawie dotyka wody. Codziennie mogłabym bez trudu odwiedzać te miejsca, choć nie byłoby tam nic do oglądania. Zamiast tego patrzę przez okno.

Dom dzieli od ulicy rozległy ogródek, którego ogrodzenie z kutego żelaza całkowicie porastają rododendrony, wyciągające mięsiste liście przez pręty, jak gdyby więźniowie wysuwali palce, aby, niczym żebracy, dotykać ramion przechodniów. Ponad czubkami ogrodzenia patrzę na jezdnię i czekam, żeby coś wyrwało się z szeregu, zsunęło na bok, wyłamało z kierunku jazdy lub obróciło. Na przykład gwałtownie hamująca ciężarówka, która stanęłaby cielskiem w poprzek, jednym kołem na chodniku, tuż pod latarnią, jakby chciała podnieść tylną nogę, a wokół jej pyska gromadziłyby się na podobieństwo much ciemna chmura przechodniów*. Coś leżałoby nieruchomo i bezkształtnie na asfalcie. Może kupa starych łąchów, które nie nadawały się, by wrzucić je do kontenera na używaną odzież? Nawet nie przyglądając się dokładnie, wiedziałabym lepiej. Dopiero nadjeżdżająca karetka pogotowia na syrenie sprawiłaby, że całe zajście stałoby się problemem technicznym. Migające błękitne światło szybkimi ściegami zaszyłoby dziurę w porządku świata, powstała na skutek nieplanowanej śmierci przedstawiciela naszego gatunku; dziurę, nad którą pochyliłoby się ludzkie zbiegowisko, aby rzucić przerażone spojrzenie na rozpościerający się w dole chaos. Odepchnięto by ciżbę. Zatrzaśnięto by tylną klapę karetki. Dzień by drgnął, jęknął i ruszył od nowa. Na zawsze zabrakłoby jednego człowieka. Może jednego z moich oskarżonych. Może mojego świadka – kobiety. Jednego

* Por.: „Przed chwilą coś wyskoczyło z szeregu, jakiś na ukos skierowany ruch, coś przekręciło się i ześliznęło na bok. Masywna ciężarówka nagle zahamowała, wjeżdżając, jak się okazało, jednym kołem na krawędź chodnika. Ludzie, niczym pszczoły wokół ula, stłoczyli się wokół miejsca, które pozostało pośrodku wolne”, Robert Musil, *Człowiek bez właściwości*, przekł. K. Radziwiłł, K. Truchanowski, J. Zelter, Warszawa 2002, s. 9.

z trojga prawie niewinnionych. Ale jestem pewna, że ich wszystkich nie ma w mieście ani nawet w kraju. Między posiedzeniami sądów kolejnych instancji ludzie lubią wyjeżdżać na wycieczki.

Prokuratura wniosła apelację. Mój wyrok powędruje do wyższej instancji. Ten przypadek dotrze pewnie aż do Trybunału Konstytucyjnego w Karlsruhe. Zawiera bowiem żądanie oficjalnego przyjęcia do wiadomości, iż prawo zawiodło, albowiem godność człowieka wymaga uznania tego faktu. My, prawnicy, mówimy, że nad federalnym Trybunałem Konstytucyjnym jest już tylko błękitne niebo.

Błękitne niebo stało się kolorową przykrywką tekturowego pudełka z zestawem gier. Jeśli to wszystko jest grą, jesteśmy zgubieni. Jeśli nie – to naprawdę czeka nas zguba.

O księżniczkach i marionetkach oraz o możliwości zagwarantowania sobie szacunku kilkoma słowami

Ada była młodą, niezbyt ładną dziewczyną. W chwili, którą reflektor tego opowiadania wydobywa z mroku, miała czternaście lat, jasne włosy i mocną budowę. Usta szerokie, nadgarstki silne. Na jej nosie rozpościerał się podziurawiony dywan piegów, który w odpowiednim świetle sprzedawał kilka obowiązkowych kłamstw o polnych kwiatach i dziecięcych zabawach. Ada wyglądała na starszą, niż była w rzeczywistości. Miała dobrze rozwinięte piersi.

Latem 2002 roku została przyjęta do dziesiątej klasy gimnazjum imienia Ernsta Blocha w Bonn, gdyż – co wyjaśni się w trakcie pewnej muzycznej retrospekcji – musiała opuścić dawną szkołę. Początkowo nie budziła w gimnazjum szczególnego zainteresowania.

We wszystkich klasach, począwszy od siódmej, można było spotkać aksamitnie i jedwabście miękkie dziewczęta; ich narodzinom towarzyszyła nabrzmiewająca powoli muzyka, podobnie jak otwieraniu się Windowsów towarzyszy powitalna uwertura. Przyszły na świat jako miniaturowe księżniczki, już w trzech niższych klasach osiągnęły pierwsze żrebiące stadium doskonałości, a potem wrastały re-

gularnie w postaci kobiet, którymi kiedyś miały się stać. Rozwój księżniczek przebiegał rutynowo i bezbłędnie, jakby już wcześniej po wielokroć wykonywały z powodzeniem zadanie dorastania. Na pierwszy rzut oka owe profesjonalistki w dojrzewaniu różniły się od dyletantek. Miały wypielęgnowane, sięgające ramion włosy, właściwe kobietom dorosłym, z harmonijną niedbałością nosiły spodnie biodrówki, szerokie paski i kuse koszulki, pozwalając, by gładka dziecięca skóra i wydęte dziecięce wargi zmieniały się w skórę i wargi dziewczęce, a wągry, pocenie się czy zmiany nastroju w okresie dojrzewania w żadnym momencie nie zakłócały harmonii ich wyglądu. Na otaczającą je aurę wyniosłej niewinności nie miały wpływu ani ulewy, ani też wilgotne i upalne lato. Wszystko zdobiło księżniczki – mokre włosy, czerwone nosy, a nawet warstewka kurzu, która podczas skoku do starej piaskownicy na wuefie osiadała na ciele.

Przyzwyczajone do otrzymywania wszystkiego za darmo, te ludzkie sarenki nie miały żadnych ambicji. Zabiegali o nie koledzy ze szkoły, również ci, do których bardziej pasowałyby dziewczyny o bogatym życiu wewnętrznym. Niektóre uprawiały lekkie sporty lub czytały lekką literaturę. Uczyły się przeciętnie; jako ulubione przedmioty wymieniały niemiecki albo plastykę czy biologię, nie umiając jednak wyjaśnić, czemu tak w nich gustują. Będąc w ostatnich klasach, znajdowały się już w zenicie życia. Emanowały największą mocą, uzyskiwały najwyższą akceptację i dzień w dzień towarzyszyło im swego rodzaju bezbarwne, ale dobre samopoczucie, by nie powiedzieć, że odczuwały szczęście. Po maturze zaczęły się powolne schodzenie. Na szczęście skala ich osobistej historii była im obojętna. Może coś przeczuwały. Może właśnie z tego przeczucia brał się ów cień melancholii, przydający ich

powabnym ruchom pewnej gnuśności, gnuśności zaś pewnego tragizmu, a tragizmowi szczególnego powabu.

W tym opisie zostały wymienione wszystkie te cechy, których nie miała Ada. Była przeciwieństwem księżniczki, o ile księżniczki posiadają jakieś przeciwieństwo. Od kiedy w wieku dwunastu lat przyszło jej na myśl, że poszukiwanie sensu jest wyłącznie produktem ubocznym ludzkiej zdolności myślenia, zaczęła uchodzić za jednostkę wysoce uzdolnioną i trudną wychowawczo. Poproszona przez nowego wychowawcę, aby przedstawiła się pozostałym uczniom, wymieniła swoje imię i nie potrafiła powiedzieć nic więcej. Zasugerował jej kilka osobistych zdań, wypowiedź na dowolny ważny dla niej temat, i nie zrozumiał jej śmiechu.

Zmiana szkoły to dla niej szczęśliwy traf, powiedziała w końcu, cieszy się, że będzie chodziła do gimnazjum imienia Ernsta Blocha. Dawniej rodzice nie pozwolili jej na zapisanie się do tego drogiego, prywatnego gimnazjum.

Słowo „dawniej” wymówiła w taki sposób, że porzmięwało w nim echo zamierzchłych epok.

- A co takiego szczególnego jest w „Blochu”? - spytała jedna z księżniczek o spiralnych lokach.

- Poczulałam się tak, jakby to było miejsce dla prawdziwie mądrych, prawdziwie zniszczonych, prawdziwie kategorycznych ludzi.

Jedni zaczęli wykrzykiwać słowa aprobaty, inni robić grymasy. Księżniczki odchyliły się w ławkach i obiema rękami zsunęły długie włosy na plecy, aby rzucić je poza oparcie krzesła. Ada naprawdę cieszyła się na myśl o „Blochu”. Szkoła znajdowała się pod prywatnym zarządem i również marnotrawnym stworzeniom, uparcie wzbraniającym się przed udziałem w wycieczce pod hasłem „szczęśliwe dzieciństwo”, gwarantowała ostatnią szansę otrzymania

świadectwa dojrzałości. Pod warunkiem, że rodzice mogli sobie na to pozwolić.

„Poczułam się tak, jakby to było...” Później, przez cały rok 2002, Ada mówiła niewiele. Na lekcjach nigdy nie podnosiła ręki. Kiedy ją wzywano do odpowiedzi, nie zaczynała wypowiedzi od: „Moim zdaniem” lub „Myślę”. Mówiła: „To bzdura”. Albo: „Istnieje tylko jeden sposób rozumienia tego fragmentu”. Lub: „To nieistotne, kto, co i ile wiedział”.

W tym stylu odnosiła się również do Höfiego. Höfi zyskał sławę okrutnego posokowca, który potrafi zwężyć głupotę na odległość stu metrów pod wiatr i bezlitośnie ją zwalcza. Będąc mizantropem, zrezygnował z kariery akademickiej na rzecz szkolnej. Jego sympatia rosła wprost proporcjonalnie do ilorazu inteligencji interlokutora. Podobnie jak wszystkie wolno krążące we wszechświecie odłamki skalne, również on posiadał ciepły, płynny rdzeń, którego jednak umiał bronić wszelkimi metodami rozmowymi. Höfi prezentował empiryczny dowód na to, że nawet śmietana stwardnieje, jeśli wystarczająco długo ją ubijać. Książniczki go nienawidziły. Nigdy nie patrzył na nie inaczej jak z ironicznie wykrzywioną dolną wargą.

Od początku nowego roku szkolnego jego leniwe rentgenowskie spojrzenie wyluskiwało na każdej lekcji historii w X b nowe kukułcze, które krnąbrnie i bez ruchu siedziało w gnieździe pełnym wiercących się piskląt. Pewnego wrześniowego dnia – na dworze mżył delikatny deszcz – wyprężył garbatą jak u Quasimoda postać przed Adą, siedzącą z prawego końca stołu w kształcie litery „U”, chwycił długopis i niczym nóż skierował go na czubek jej nosa.

Docenia wagę własnego zdania każdego człowieka, oznajmił, ale na wszystko w życiu da się spojrzeć przynajmniej z dwu perspektyw, z których żadna nie może

sobie rościć prawa do absolutnej wyłączności. Niech ona, Ada, tym oto długopisem zapisze to sobie dla pamięci za uszami i niech dopiero wtedy otworzy usta, kiedy już to zrozumie. Koniec komunikatu.

Ada wyjęła Höfiemu długopis z ręki i położyła go dokładnie w tym samym miejscu, gdzie leżał wcześniej – między zeszytem a książką. Odwzajemniła przy tym otwarcie spojrzenie nauczyciela, ale nie popatrzyła mu w oczy, lecz utkwiała wzrok w maleńkim fragmencie jego czoła, które to miejsce, gdyby gładko przeszła przez nie kula pistoletu, obiecywało natychmiastową i pewną śmierć.

- Czy jest pan żonaty?

- Oczywiście – powiedział Höfi, a cisza w klasie osiągnęła wymiar totalny.

- Czy kocha pan swoją małżonkę?

- Oczywiście. Nawet bardzo.

- Czy myślał pan kiedykolwiek o tym, że równie dobrze mógłby pan tę kobietę nienawidzić?

- Nie.

Ada opuściła wzrok z czoła Höfięgo na swoje, pełne blizn koniuszki palców. Na lekcjach zabijała czas zdrapywaniem skóry wokół paznokci i ściąganiem jej wąskimi pasekami aż do środka palców.

- Skoro tak – powiedziała cicho – niech pan przestanie opowiadać te bzdury o dwu możliwych sposobach widzenia wszystkich rzeczy.

Höfi otworzył usta i znów je zamknął. Skinął głową, jakby otrzymał w gruncie rzeczy uboczną, ale niezbywalną i od dłuższego czasu oczekiwaną informację, po czym dalej prowadził lekcję. Dwadzieścia cztery godziny później siedmuset czterdziestu dwóch uczniów „Blocha” wiedziało, że znalazła się wśród nich taka jedna, co to nie dała się przegadać Höfiemu. Mówiono, że historyk tyran po raz

pierwszy w swojej długoletniej karierze zwietrzył godnego siebie przeciwnika.

Ada umiała czytać i pisać od czwartego roku życia; nauczyła się tego sama za pomocą alfabetu obrazkowego. W wieku lat pięciu, gdy kładła na głowie prawą rękę, palcami bez trudu dosięgała lewego ucha. Dlatego też zapisano ją wcześniej do szkoły, gdzie na zawsze przyłgnęło do niej miano najmłodszej. W trzeciej klasie jeden z chłopców wyraził pogląd, że taki maluch jak Ada nie może być przywódczynią bandy na dziedzińcu szkolnym, wobec czego doznał lekkiego zgniecienia nerek wskutek kopnięcia kozakiem. Aby złapać chłopaka za plecy, Ada stanęła na swoim kwadratowym tornistrze ze skóry. W następnych tygodniach spędzała przedpołudnia w przeszklonym pomieszczeniu, przylegającym do klasy, gdzie w ciągu kilku minut rozwiązywała zadania przeznaczone na całą godzinę lekcyjną, a potem malowała pastelowe ryby głębinowe, pływające w czarnej wodzie, wiele tysięcy metrów pod powierzchnią morza.

„Bloch” raczył już nauką tylu repetentów, dając im ostatnią szansę, że gdyby Ada chciała porozmawiać z rówieśnikami, musiałyby chodzić na korytarze trzech niższych oddziałów. Ale nie odczuwała po temu najmniejszej potrzeby, gdyż nawet uczniowie najwyższych klas wydawali się jej dziecinni. Tym bardziej nie mogła znaleźć sobie przyjaciół wśród ludzi z własnego rocznika.

Przerwy spędzała na dziedzińcu dla palaczy, gdzie z precyzją rzemieślnika artysty robiła skręty. Trzymała się zawsze tej samej grupki uczniów z różnych klas, stała na uboczu, pół kroku za ich kręgiem, uważała, żeby wzdymające się kurtki puchowe chroniły ją przed spojrzeciami dyżurujących nauczycieli, i przysłuchiwała się rozmowom. Pociągając papierosa, zerkała za każdym ra-

zem spod spuszczonej powiek na żar, pożerający papier. Do spranych dżinsów, których wystrzępione nogawki wlokły się za nią po chodniku, nosiła przeważnie kurtkę z tego samego materiału, ale w ciemniejszym odcieniu, co równało się zbrodni estetycznej. Miała nieco za dużą głowę i piersi w stosunku do stabilnej, ale niezbyt rosłej postaci, a także rzadko się odzywała, toteż przyłgnął do niej przydomek „marionetka”. Prawie nikt nie znał jej prawdziwego imienia, wszyscy za to wiedzieli, że kilkoma słowami poskromiła Höfiego. Zostawiano ją w spokoju. Od czasu do czasu wtrącała się szorstko do rozmowy. Jakie to ma znaczenie, że Amelia tak chciała? Gdyby ktoś naprawdę potrzebował piwnicy na rowery, aby urządzić w niej prywatkę, na pewno by ją dostał. Oczywiście, że Schröder zostanie ponownie wybrany.

Ona sra na wszystko. Osobowości tej „nowej” nie dało się wyrazić zwięźle. W tym określeniu pobrzmiewało uznanie i odrobina sympatii. Nikt tego zbyt dobrze nie wiedział. Księżniczki ze wszystkich klas trzymały się od niej z daleka, a na dziedzińcu dla palaczy przemieszczały się tak długo, aż Ada nie stała za plecami żadnej z nich. Dokładnie tak samo jak w dawnej szkole otaczało ją mnóstwo ludzi, którzy w najmniejszym stopniu jej nie obchodzili, czuła więc dobrze, że wszystko jest po starciu. Oczekiwanie czegoś innego było niedorzecznością.

Myśleć znaczy wkraczać. Ernst Bloch i „zasada nadziei”

Wkrótce po przyjsciu Ady do „Blocha” odbyły się uroczyste obchody stulecia szkoły. W wysoko sklepionej auli spotkało się prawie tysiąc osób – uczniowie, nauczyciele, personel internatu, członkowie zarządu szkoły, absolwenci i członkowie Stowarzyszenia Wspierania Szkoły. Światło, płynące z potężnej szklanej rozety nad portalem wejściowym, stało ukośnie między katedralnymi murami, rzucało na plecy i ramiona plamy barwnych refleksów i otaczało całe zgromadzenie aurą nabożeństwa i komunii. Pokaszujący ludzie siedzieli obok siebie jak gmina wyznaniowa podczas mszy świętej. Patron szkoły powiedział kiedyś: Fałszerstwo różni się od oryginału tym, że sprawia wrażenie prawdziwszego.

Grał kwartet skrzypcowy, złożony z uczniów niższych klas, chór szkolny dzielnie jazzował pieśń urodzinową, dwóch uczniów trzynastej klasy odegrało swobodną parafrazę Becketta. Później najmłodszemu stażem nauczycielowi przypadł zaszczyt wygłoszenia uroczystej przemowy. Wysoki i szczupły niczym konfirmant, spowity w wytworną czerń garnituru wszedł na stojące z przodu podium. Wcisnął głowę w ramiona, aby nie do końca wyglądać zza mównicy na giganta, uśmiechnął się do uczniów, którzy,

osaczeni przez nauczycieli, siedzieli na krzesłach w środkowych rzędach jak owce między owczarkami, i obiema rękami odgarnął włosy z twarzy.

Ada siedziała w jednym z nielubianych przednich rzędów, które zawsze jako ostatnie zajmowali maruderzy i outsiderzy, nie poszeptywała z nikim, tylko z dołu spoglądała ukośnie ku mówcy. Rozpoznała w nim jedną z pierwszych osób spotkanych na korytarzach „Blocha”. Jeszcze przed wakacjami, tuż po rozmowie kwalifikacyjnej w gabinecie dyrektora, ten mężczyzna w towarzystwie Höfiego szedł naprzeciw niej po moście z pleksiglasu, łączącym stary gmach szkoły z nowym, a nazywanym przez uczniów „tunelem powietrznym”. Jej matka próbowała z nim flirtować, a Ada wstydziła się za nią. Przypomniała sobie, jak się przedstawił: Smutek, niemiecki i wuef. Mówił z lekkim akcentem, którego nie potrafiła nijak zaklasyfikować.

Ułożył swoje przemówienie w heksametrach i w ciągu dwudziestu minut streścił stuletnie dzieje szkoły. Latorośle rodu założycieli, wnukowie i prawnukowie staro Wolframa Gründera, siedzieli w pierwszym rzędzie, uśmiechając się na pokaz jak dumni rodzice. Pochodzili z rodu przemysłowców, który na produkcji cukru dorobił się tak ogromnego majątku, że stary Wolfram mógł w roku 1902 spełnić swoje dziecięce marzenie i założyć taką szkołę, do jakiej sam chciałby uczęszczać. Smutek podziękował za ten pomysł dawno już nieżyjącemu nadójcu, nazwał jego potomków „cukrowymi laleczkami”, bo pasowało mu to do miary wierszowej, za co zebrał niemilknące śmiechy z tylnych rzędów.

Ponieważ w czasach nazistowskich kilku byłych uczniów przysporzyło szkole wątpliwej sławy, parę lat po zakończeniu drugiej wojny światowej gimnazjum Gründera

otrzymało inną nazwę. Nowy patron, mówiono, uczestniczył w uroczystym akcie nadania szkole imienia, czemu przyświecało motto: „Myśleć znaczy przekraczać”, ale nie zachowały się żadne dowody jego obecności. Gimnazjum imienia Ernsta Blocha otrzymało akceptację ze strony państwa, pozostało jednak w rękach prywatnego zarządu. Sukcesja dynastii założycielskiej trwała nieprzerwanie do tej pory. Urzędujący prawnuk był późnym dzieckiem, miał dopiero czterdzieści sześć lat i zdaniem większości udziałowców był zbyt młody na podejmowanie jakichkolwiek decyzji. Odkąd piastował urząd, z nostalgiczną melancholią mówiono o „epoce Gründerów” jak o czymś dawno minionym.

Kolejne strofy Smutek poświęcił odchodzącemu dyrektorowi Singaalowi, któremu, jak wielu młodych nauczycieli, zawdzięczał zatrudnienie. Z miłością i szacunkiem mówił o ogromnych niczym żagle uszach Singaala, za pomocą których zdawał się on ciągle szybować nad wszystkimi rzeczami. Kilku starszych uczniów zaklaskało spontanicznie, wzruszony Singaal uśmiechnął się, po zachodniej stronie auli w obozie nowego dyrektora panowało uporczywe milczenie. Nowy dyrektor nazywał się Teuter, był przyjacielem młodego Gründera z czasów studiów, niski niczym dżokej i obdarzony głosem żaby Kermita. Od chwili jego wyboru na stanowisko dyrektora przez pokój nauczycielski przebiegał głęboki rów. Za Teuterem stała frakcja pedagogów, którzy uważali Singaala za miłego człowieka, ale jego styl kierowania szkołą za zbyt opieśzały. Wystarczyło otworzyć gazety, aby się dowiedzieć, że w niemieckich szkołach dochodzi do kradzieży, szantaży, gwałtów i tortur. Przyjaciele Teutera chcieli przeciwdziałać zjawisku osypywania się wału, dzielącego codzienne zachowania od przestępczości. Poważne traktowanie ucznia nie

oznaczało wcale ślepej wiary w jego dziecięcą niewinność. Stosunki międzyludzkie nabrały naraz normatywnego charakteru, co może nie brzmiało ładnie, ale odpowiadało prawdzie i nikt nie mógł tego zmienić, przede wszystkim nie tacy ludzie jak Smutek czy Singaal. Ada od pierwszej chwili nie cierpiała Teutera. Wyglądał jak ktoś, kto nienawidzi świata, aby móc kochać siebie, Ada zaś uważała za oznakę głupoty zarówno ogromną nienawiść, jak i wielką miłość.

Obaj panowie, jeden schodząc z mównicy, drugi zmierzając ku niej, spotkali się i podali sobie ręce. Szpilka w krawacie Smutka znalazła się w tym momencie na wysokości oczu Teutera: polakierowany na złoto kawałek blaszki z mottem i emblematem szkoły. Myśleć znaczy przekraczać.

Czas przekraczania, powiedział Teuter, znalazłszy się na mównicy, tymczasem minął. Jest samo przez się zrozumiałe, że każdy inteligentny człowiek powinien wciąż na nowo ustanawiać granice potęgi własnego rozumu i w miarę możliwości je przekraczać. „Przekraczanie” jest w ogóle pożądanym dogmatem wspólnoty, dążącej do jak najlepszych osiągnięć. Jednakże w ramach swobodnej i godnej człowieka państwowości pojęcie „przekraczania” nabiera innego znaczenia. Właściwie znaczenia negatywnego. Na szczęście! Czyż bowiem może być coś piękniejszego niż życie w państwie, które można kochać i poważać, zamiast je zwalczać? Póki pożądane są zasady, ich przekraczanie jest niepożądane. Dlatego też Teuter woli pojęcie „wkroczenie”, które rozumie jako uwspółcześnioną interpretację pojęcia „przekraczanie”. Myśleć znaczy wkroczać. Nie mylić z „wykroczać”.

- Wprawdzie myśleć znaczy również „wykroczać” - powiedział zza mównicy - ten tego, ale nie na lekcjach!

W zachodnim skrzydle auli rozległ się śmiech.

Także matka Ady roześmiała się, gdy podczas rozmowy kwalifikacyjnej Teuter zakończył ten sam wykład tym samym kiepskim żartem. Dowcipne! – wykrzyknęła, to bardzo dowcipne! – a Ada nie zdołała się nawet na nią za to pogniewać. Matka siedziała na krześle dla gości obok biurka Teutera prosto, jakby ktoś wbił ją na męczeński pał, i co dwie minuty wygładzała palcami włosy ufarbowane na czarno i uczesane à la Kleopatra. Prawa noga założona na lewą bujała się w powietrzu, podrygując w szybkim rytmie uderzeń serca. Ada wiedziała, że matka wolałaby się rozplakać niż roześmiać – rozplakać, odetchnąwszy z ulgą, że Teuter potraktował przestępstwa jej córki z kliniczną trzeźwością mężczyzny, który przywykł do zła. Żabi Głos naciągnął gumowe rękawiczki i dokonał implantacji występku Ady w abstrakcyjny kontekst socjologiczny, w którym ten dobrze się prezentował, nieomal posiadał sens, a przede wszystkim miał się już nigdy nie powtórzyć. Z profesjonalnym optymizmem lekarza Teuter mówił o wspaniałości systemu demokratycznego, w którym żyją i do którego należy przyzwyczaić młodych ludzi, niczym zwierzęta do życia w warunkach małego, wygodnego rezerwatu przyrody. Teuter nie umiał powiedzieć, dlaczego w ostatnim czasie oswojeni goście rezerwatu coraz częściej popełniają wykroczenia przeciw wartownikom lub przedstawicielom swojego gatunku, nie chciał zresztą wiele o tym mówić, dopóki „Blochowi” takie straszne rzeczy były oszczędzone. Singsaal, jeszcze przed wakacjami oficjalnie sprawujący urząd dyrektora, był obecny przy tej rozmowie, uśmiechał się dobrodusznie i wypytywał Adę o jej ulubione przedmioty. Matka nieustannie szukała wzroku Teutera, jako że to on, jeśli dobrze zrozumiała, był człowiekiem przyszłości. Kiedy zaczął sprawdzać wiedzę Ady, a ta nie przestawała wpatrywać się szklanym wzrokiem w miejsce

między jego brwiami i przemawiać powoli jak do chorego umysłowo, matka miała ochotę kopnąć ją butem na obcasie w piszczel, ale biurko Singasaala z czasów Gründera już dawno ustąpiło miejsca nowoczesnej konstrukcji ze stali i szkła, która nie chroniła przed cudzym wzrokiem. Wbiła więc oczy w ziemię, gdzie pod stołem wiło się wężowisko komputerowych przewodów.

Ada obojętnym tonem udzielała odpowiedzi na kolejne pytania, nie pozwalając sobie na najmniejszy błąd. Po każdej odpowiedzi niechęć Teutera rosła. Był dumny ze swojego ogólnego wykształcenia, toteż władczy gestem nakazał matce Ady milczenie, kiedy wtrąciła usprawiedliwiająco, że jej córka zawsze otrzymywała najlepsze oceny ze wszystkich przedmiotów. Na twarzy Singasaala odmawiała się troska. Dopiero gdy Teuter przeszedł od nauk przyrodniczych i literatury do religioznawstwa, a Ada wyznała, że nigdy nie czytała Biblii i dlatego nie może udzielić odpowiedzi na pytanie, co Dawid i Goliat mają wspólnego z obecnymi strukturami konfliktów międzynarodowych, wszyscy odetchnęli z ulgą. Matka wiedziała, że Ada od dzieciństwa czyta wszystkie książki z domowej biblioteki, na którą składały się trzy duże regały, należące do trzech różnych osób: pierwszy do zmarłego ojca dziewczynki, drugi do ojczyma, który dwa lata temu od nich odszedł, a trzeci do samej matki. Biblia stała na pierwszym regale u dołu z prawej strony. Ada przeczytała ją podobnie jak całą resztę.

Teuter zakończył rozmowę łagodnym, krótkim wykładem poświęconym Biblii jako wiecznemu fundamentowi kultury zachodnioeuropejskiej i jej znaczeniu dla każdego filozoficznego, a nawet ateistycznie motywowanego dyskursu, który może istnieć jedynie poprzez negację Boga, później wymienił krótkie spojrzenie z Singasaalem, po

czym serdecznie powitał Adę jako uczennicę „Blocha”. Zasada nadziei, zakończył, obowiązuje w tej szkole bardziej niż gdziekolwiek indziej.

Potem w tunelu powietrznym spotkały Smutka i Höfiego. Pierwszy był ubrany w krótkie spodenki, buty do biegania, a nad górną wargą miał słoną obwódkę zaschłego potu, drugi natomiast szedł przygarbiony, z rękami skrzyżowanymi na plecach, prawie tonąc w oliwkowozielonym tweedowym garniturze. Nowa uczennica? – spytał Smutek, na co matka kokieteryjnie spojrzała w sufit. – Mój drogi panie, taka młoda to ja już nie jestem. Roześmiali się sztucznie, wymienili energiczny uścisk dłoni – Smutek, niemiecki i wuef – i poszli dalej swoimi drogami.

– Zasada nadziei, ten tego – mówił Teuter do mikrofonu – dzisiaj, podobnie jak przed stu laty, obowiązuje w tej szkole bardziej niż gdziekolwiek indziej.

Aplauz zaniósł go z powrotem na miejsce, podobnie jak przyływ zanosi statek do portu. Ponieważ Teuter siedział tuż przed Adą, ich spojrzenia przypadkiem się spotkały. Tego wieczoru Ada zapisała w swoim rzadko używanym dzienniku, noszącym tytuł *Do Selmy*:

„Żaden filozof nie napisałby grubej książki, gdyby mógł przewidzieć, w jaki sposób potomni będą go cytować. Zabroniono człowiekowi patrzeć w przyszłość, mając na myśli tylko jego najwyższe dobro. Ponieważ ja umiem patrzeć w przyszłość poprzez teraźniejszość jak przez cienką moskitierę, póki żyję, nie zrobię niczego, co miałoby jakiegokolwiek znaczenie”.

Smutek przywołuje kilka wspomnień

Smutek nie uważał, by rok szkolny zaczął się dla niego źle. Wprawdzie perspektywa pracy pod rządami człowieka, którego uczniowie nazywali na przemian „Töter” albo „Täter”, to znów „Teutone” i „Euter”*, nie poprawiała jego nastroju – kiepskiego, jak zwykle pod koniec wakacji, mimo to czuł się szczęśliwy i wiedział dlaczego. Jego przypominająca elfa, kapryśna żona, przestała wreszcie uparcie odmawiać ponownego przekroczenia polskiej granicy lądowej, morskiej lub powietrznej i tego lata pojechała z nim na miesiąc na Mazury.

Wkrótce po otrzymaniu pracy w „Blochu” Smutek kupił drewniany domek nad jeziorem gdzieś między Olsztynem a Ostródą i od tej pory co roku jeździł tam samotnie, aby spędzać czas na pływaniu, czytaniu, remontach i tęsknych rozmyślaniach o żonie. Niestrudzenie poświęcał się rozbudowie swojego małego pałacu, nie wiedząc, czy stopa królowej kiedykolwiek przestąpi jego próg. Widział ptaki, które przez całą wiosnę wszelkimi siłami i z ogromnym kunsztem budowały kuliste gniazda, po czym trwożliwie przysiadły obok, podczas gdy ich tłuste

* Parafrazy nazwiska Teuter: Töter – zabójca, Täter – sprawca, Teutone – Teuton, członek dawnego szczepu germańskiego, Euter – wymię.

bogdanki szalały w środku, tak długo uderzając skrzydłami i dziobiąc delikatne sploty, aż wszystko było wyskubane, potargane i zwisało w strzępach. Po zniszczeniu gniazda, natychmiast opuszczały budowniczego. Jeśli umiał im stać czoła, dostawał szansę.

Na myśl o tych ptakach Smutek czuł uderzenie gorąca na twarzy. Wiodło mu się bowiem jeszcze gorzej – jego bogdanka aż do tego lata nie zniżyła się nawet do ogleńdzin, za to raczyła go jadowitym szyderstwem: Nie przeszkadza mu, że jako letnik jeździ do kraju, który zabił jej ojca, a jego ojca zniszczył? Do kraju, który jego, Smutka, aresztował w wieku osiemnastu lat, a później wyrzucił? Czy jesteś aż takim tępakiem, Smutek, że umiesz o tym wszystkim zapomnieć? A może najbardziej lubisz rozstawić swój leżak na rodzinnych grobach?

Nie miał już ochoty tłumaczyć żonie, że jedno jedyne zdanie ocaliło jego przyjazne uczucia do ich wspólnej ojczyzny; zdanie, które ojciec wykrzyknął za nim na schodach, gdy pewnej nocy dwaj umundurowani mężczyźni przyszedli wywlec z łóżka delikatnego młodzieńca Smutka.

– Nic sobie z tego nie rób, synu! Każdy dobry Polak idzie przynajmniej raz w życiu do więzienia, bo w walce za ojczyznę zostaje przez własną ojczyznę aresztowany.

A przecież Smutek nawet nie walczył, tylko całkiem niedawno podjął zupełnie niepolityczne studia matematyczno-fizyczne. Styczeń trzymał Kraków w mocnym uścisku, przewracane choinki bożonarodzeniowe przymarzły do ziemi. W więzieniu nie było ogrzewania.

Smutek niczego nie zapomniał, wręcz przeciwnie, miał znakomitą pamięć, toteż zachował w niej wszystkie szczegóły. Pamiętał jeszcze, że pół roku później stał na nieskończenie szerokich ulicach Berlina Zachodniego i że po życiu w płataninie krakowskich uliczek, po sześciu

miesiącach spędzonych w celi więziennej i czterdziestu ośmiu godzinach w małej jak klatka ładowni furgonetki te ulice wydawały mu się wyschniętymi łożyskami rzek w gigantycznym, kamiennym krajobrazie. Długo wystawał w jednym miejscu, dziwiąc się małym postaciom przechodniów, którzy niedbale przechodzili obok, nie zwracając na niego większej uwagi niż na drzewa, rosnące w alei. Podobnie jak one, mógł patrzeć z góry na ludzkie głowy. Zawsze wyobrażał sobie, że Niemcy są wyżsi. Po raz ostatni widział ich w dzieciństwie: spędzali urlop na mazurem kempingu w pobliżu miejscowości, gdzie dzisiaj stoi jego domek, i byli ogromni. Podobnie jak wszystkie inne dzieci Smutek bał się Niemców, ich siły, brutalności i „inteligencji”, o której czasem rozmawiano przy kolacji i którą wówczas uważał za broń szczególnie nowoczesną i niebezpieczną. Kiedy na kempingu niepostrzeżenie stanął naprzeciw takich dwu wspaniałych okazów, ze strachu padł w odrętwienie i skulił się w trawie, a stojący nad nim Niemcy, wysocy jak wieże, sięgali nieba. Zagadnęli go kilkoma słowami wypowiedzianymi łamaną polszczyzną, których w panice nie zrozumiał, i wcisnęli mu cukierki do prawie zaciśniętej piąstki. Ledwo zniknęli, pobiegł z krzykiem do namiotu rodziców. Mamo! Tato! Niemcy dali mi cukierki!

Zaczął rosnąć być może w przeczuciu rychłego wygnania do Republiki Federalnej Niemiec. Ledwo znalazł się w więzieniu, wystrzelił w górę, jakby przez sufit celi chciał wyrwać się na wolność. Po trzech miesiącach nadgarstki i kostki nóg wystawały mu z więziennego pasiaka, który opinał klatkę piersiową i uda. Smutek dzielił sobie więzienną codzienność na strawne kąski, czyli jednostki treningowe, na które składały się świece, skłony i przysiady, i wkrótce dołączył do więźniów, którzy nigdy nie wchodzą

w konflikty z kolegami z celi. Miał już ponad metr dziewięćdziesiąt, a przestał rosnąć dopiero wtedy, gdy wypuszczono go na wolność. Jeszcze dzisiaj nie mógł powstrzymać się od śmiechu na myśl o tym, jak stał wówczas na Kurfürstendammie i dziwił się, że Niemcy nie mają trzech metrów wzrostu.

W Berlinie było gorąco jak w piekarniku, a Smutek całymi dniami biegał po mieście w nadziei, że natrafi gdzieś na regulator temperatury. W Nordhafen Spandau złożył wniosek o azyl polityczny, spodziewając się odmowy, mimo iż nie wiedział, co by to było, gdyby niczym bumerang wrócił w ręce tych, którzy go wydalili. Jednakże w tym roku Niemcy odnotowały wyjątkowo niską liczbę uchodźców politycznych z krajów bloku wschodniego, wobec czego Smutek bez trudu uzyskał azyl, 21 lipca, tuż po spektakularnej wizycie papieża w Polsce i na dzień przed zniesieniem stanu wojennego. W tym czasie jego mieszkająca w Krakowie rodzina czekała z rosnącym niepokojem na zwolnienie go z więzienia wojskowego. Smutek nie chciał próbami kontaktu z Berlina narażać swoich najbliższych na niebezpieczeństwo, zbyt późno jednak zrozumiał, że największe niebezpieczeństwo stanowi jego przebiegłe milczenie. Wreszcie ojciec Smutka, który zawsze pragnął mieć waleczne dziecko, dowiedział się, że syn został aresztowany wskutek tragicznej zbieżności nazwisk z jakimś aktywistą „Solidarności”, ale już nie przebywa w więzieniu. Sama myśl o takiej pomyłce dowodziła, jak dalece życie ludzkie jest bożym igrzyskiem. Ojciec Smutka był wierzącym katolikiem. Zachorował.

Aby uporać się z utratą całej dotychczasowej egzystencji, Smutek postanowił stać się innym człowiekiem. Porzucił myśl o naukach ścisłych i zdecydował, że będzie studiować wychowanie fizyczne i germanistykę. Pierwszy

kierunek nie wymagał znajomości żadnego języka; drugi wręcz przeciwnie, Smutek uznał więc, że swobodnie może spróbować. Po pierwsze musiał się nauczyć, co oznacza słowo „Duldung”*. Został stałym gościem uniwersyteckiego biura do spraw obcokrajowców. Pewnego dnia ujrzał tam dziewczynę, w której zarówno po ubraniu, jak i po tym, że ciągle się ukradkiem rozgląda, natychmiast rozpoznał rodaczkę. Kiedy zagadnął ją po polsku, przeraziła się niczym ktoś schwytyany na gorącym uczynku, ktoś, kto od wielu tygodni spodziewa się zdemaskowania.

Zbyt zachwycony, by zwracać uwagę na to, jak się od niego odżegnuje, Smutek zażądał, aby swoją płynną niemiecką pomogła mu się porozumieć. Usłyszał więc z jej pięknych ust, że jego status w tym kraju nie upoważnia go do podjęcia pracy ani do rozpoczęcia studiów, ani też w ogóle do zdobywania jakiegokolwiek wykształcenia. Co wobec tego pozostaje? Czekać, *warten*, powiedziała jego przyszła żona. Czekanie, odparł Smutek, jest w równie małym stopniu czynnością jak trwanie lub mieszkanie, a poza tym nie wie, na co miałby czekać. Przyznano mu rację. Czy mógłby jako wolny słuchacz chodzić na kilka seminariów? Należy to uzgodnić z danym profesorem. Uszczęśliwiony Smutek schwycił swoją przyszłą żonę za rękę: – Słyszysz, mogę chodzić na uniwersytet! Miał wtedy lat osiemnaście, a ona dwadzieścia.

Oboje pochodzili z Krakowa, toteż Smutek uznał, że w jego sytuacji jest to wystarczający powód, by uwierzyć w potęgę opatrności. On był azylantem, ona emigrantką, co początkowo wydawało mu się tym samym; dopiero wiele lat później zrozumiał, że między tymi dwoma gatunkami jest przepaść, która już zawsze będzie ich od siebie oddzie-

* Duldung – tolerowanie pobytu obcokrajowca w Niemczech.

łała. Pani Smutek *in spe* nienawidziła PRL-u. Wyglądała niczym białoskóra Carmen i miała gorącą krew w żyłach. Diabły z Warszawy rzuciły jej starego ojca polskiej ziemi na pożarcie, tak że powoli zmarniał w więziennej celi. Był działaczem związkowym i nieubłaganą nienawiść do „rosyjskiego trupa Polski” przekazał w spadku córce, która doprowadziła to uczucie niemal do szczytu doskonałości. Kiedy usłyszała o pobycie Smutka w więzieniu, czerń jej oczu rozbłysła, jakby nagle rozjaśniło je światło. Ten zachwyty przeraził go początkowo, niczym nagły przebłysk szaleństwa u całkiem zdrowego człowieka. Z biegiem czasu przyzwyczyił się jednak i rozpoznawał znaki owego szaleństwa w twarzach najróżniejszych osób, dowiadujących się o jego aresztowaniu, aż wreszcie Wielki Przełom zatarł fronty i zbladło przekonanie, iż każda ofiara bolszewików jest naturalnym sojusznikiem wolnomyślnych i sprawiedliwych obywateli Zachodu.

Już wówczas przyszła pani Smutek mówiła o tym, że po ukończeniu biologii ma zamiar przeprowadzić się o wiele dalej na Zachód. Na kursach języka polskiego w Instytucie Polskim, dzięki którym zarabiała na życie, formowała słowa swojej mowy ojczystej niezwykle wyraźnie i powoli, jakby nie chciała pobrudzić sobie języka ani warg tymi głoskami, gramatykę zaś traktowała z nienaturalną ostrożnością obrońcy przyrody podczas usuwania niebezpiecznych odpadów. Uczniowie uczyli się od niej w zawrotnie szybkim tempie. Smutek, który nie mógł pozwolić sobie na kurs językowy w Instytucie Goethego, przesiadywał na jej zajęciach, usiłując wykorzystywać lekcje polskiego *à rebours* – do nauki języka niemieckiego. Popołudniami szkoliła go dalej z wojskową dyscypliną, i już po pół roku rozmawiali ze sobą po niemiecku.

Oczywiście pani Smutek nie była na tyle głupia, by wierzyć w to, że ludzie mieszkający na Zachodzie są lepsi od tych ze Wschodu. Wychodziła raczej z założenia, że rozmieszczenie zła i dobra na kuli ziemskiej to wyłącznie kwestia przydzielonego losowo planu zajęć i nie chodzi o to, że wszystko zależy od przypadku, tylko o to, że Bóg działa w sposób bardziej skomplikowany niż jakieś władze urzędowe. Upadek muru berlińskiego przetrwała ze stoickim spokojem, siedząc w pokoju nad pracą dyplomową, podczas gdy Smutek razem z innymi karnawałowiczami włóczył się po ulicach, wznosząc toasty za wynik umowy politycznej, której nie rozumiał. Kiedy w trakcie dyskusji w pani Smutek budził się demon, nazywała pojęcie „pokojowa rewolucja” oksymoronem i zaczynała mówić o tym, że bez ofiar śmiertelnych niepodobna dokonać wymiany zainfekowanej części ludności, wskutek czego nazywanie nagle starego NRD „NOWYMI landami federalnymi” jest po prostu śmiechu warte. Chciała wyjechać do Niemiec Zachodnich, aby stworzyć jak największy dystans między sobą a „blokiem wschodnim – blefem wschodnim”, kiedy zaś oświadczyła, że jest gotowa zostać w Berlinie do chwili, gdy Smutek ukończy studia, zrozumiał, że go kocha. Ponieważ po przełomie politycznym Smutkowi groziło wydalenie z Niemiec, wyszła za niego, po czym własną pracą sfinansowała jego studia nauczycielskie.

Ze stolicą Republiki Federalnej spotkali się *on the road*: podczas gdy ona przeprowadzała się z Bonn do Berlina, Smutek z żoną podążali w szoferce ciężarówki spedycyjnej w odwrotnym kierunku. Stary Singsaal nie dał się przekonać, że nie powinien zatrudniać Polaka jako nauczyciela języka niemieckiego tylko z tego powodu, że jest on Polakiem, i właśnie dlatego wybrał go spośród wszystkich innych. Szczęście żony łagodziło Smutkowi ból rozstania

z Berlinem. O ile dla niego to miasto stało się drugą ojczyzną, pani Smutek widziała w nim cerbera bloku wschodniego, w porównaniu z którym Bonn było delikatnym sercem cicho upadającego królestwa, gdzie ciągnęło ją od piętnastu lat. Owo królestwo zwało się „Zachód” i właśnie przeżywało likwidację na rzecz pozbawionego granic geograficznego potwora, w którego brzuchu narody Europy miały zostać strawione na papkę. Pani Smutek z całych sił liczyła na to, że w świątyniach byłej stolicy przynajmniej jeszcze kilka lat przetrwa odrobina zachodniego ducha, zapomniana i chroniona za zabawkowym konturem tego nadreńskiego miasta, tak dobrze znanym z codziennych wiadomości telewizyjnych.

Smutek nie żałował swojej decyzji. Zostawił wprawdzie w Berlinie spory krąg przyjaciół i zrezygnował z kariery w półprofesjonalnym zespole koszykówki, równocześnie jednak wielbił żonę, chciał więc zawieźć ją w miejsce, gdzie będzie mogła czuć się szczęśliwa. Nigdy nie zapomni, co dla niego zrobiła, ani tego, że u szczytu jego marzeń i oczekiwań ani razu nie wpadła na pomysł, by opuścić go dla kogoś innego. Pani Smutek, podobnie jak Królowna Śnieżka, składała się z czerni, bieli i czerwieni, toteż gdy tylko wychodziła za próg, mężczyźni rzucali w jej kierunku spojrzenia niczym harpuny. Ale ona nigdy nie spojrzała na nikogo innego.

Spór o domek na Mazurach był w ich długim pożyciu pierwszym konfliktem, w którym Smutek nie chciał ustąpić. W każdej sprzeczce dochodzili zawsze do tego samego miejsca, kiedy krzyczał po polsku: „Stan wojenny przestał obowiązywać dwadzieścia lat temu, generał Jaruzelski został ojcem Okrągłego Stołu, a twój PRL już od dawna jest krajem demokratycznym!”

Na te słowa pani Smutek z reguły wybuchała śmiechem, bezwstydnie otwierając duże usta, i Smutek jechał do Polski samotnie. Nieszczęśliwy przybywał na Mazury, nieszczęśliwy pielęgnował piękniejący z dnia na dzień domek i za każdym razem wracał do Niemiec wcześniej, niż to sobie zaplanował.

W tym roku było inaczej. Pani Smutek śmiała się, odzywała, a nawet pokazywała go palcem. Kiedy jednak załadował do bagażnika volva torbę podróżną i kilka kubłów chemolaku na bazie cytryny, nagle stanęła obok niego. Smutek bez słowa odsunął kubły z lakierem i położył jej małą walizkę na swojej torbie. Podczas długiej podróży nie rozmawiali ze sobą. Pani Smutek cały czas nieruchomo wyglądała przez okno, za którym przesuwały się leżące odłogiem pola, nieotynkowane domy i pobocza dróg oszpecone śmieciami, Smutek wstydził się więc za wszystko, co widziała, jakby osobiście odpowiadał za stan, w jakim znajduje się jego kraj ojczysty. Nie mógł przestać myśleć o samczkach ptaków, które dziobem i skrzydłami burzą kunsztowne kuliste gniazda. Kiedy pozwolił, aby auto na biegu jałowym potoczyło się na spadzistą działkę, a później zatrzymał je pod gęstym listowiem drzew owocowych, spociał się mimo chłodnej wieczornej pory.

Pani Smutek okrążyła domek, dużymi krokami przemierzyła bujnie wyrosniętą łąkę, dotknęła zamkniętych okiennic, lekko uderzyła rękami w drewniane ściany i powąchała omszałą rynnę. Kiedy zaś wreszcie stanęła obok niego, wskazała wyciągniętą ręką na budynek, który z zamkniętymi drzwiami i oknami przysiadł w wysokiej trawie.

- Otwórz oczy, mały domku - powiedziała po polsku.
- Jesteśmy.

Zabrzmiało to niczym pierwsza linijka jakiegoś wiersza.

Przez następny miesiąc nad obojgiem rozpinało się czyste, błękitne niebo. Pani Smutek chodziła boszo, nosiła obcięte džinsy i kilka razy dziennie kąpała się w jeziorze. Jej białe jak u Królowny Śnieżki ciało nabrało kremowego odcienia, a gładkie czarne włosy rosły jeszcze szybciej niż zwykle. Smutek łowił ryby i smażył je na grillu. Dwa tygodnie później żona zażyczyła sobie wycieczek po okolicy, a Smutek ochoczo wszędzie ją woził. Od czasu do czasu rozmawiali ze sobą po polsku, gdyż ten język stwarzał znacznie więcej przestrzeni na żarty, więcej miejsca na śmiech, niż byłoby to kiedykolwiek możliwe w niemiecku. Pod koniec wakacji umówili się na jesień. Jeziora mazurskie najpiękniej wyglądają o tej porze, kiedy w ich wodach przeglądają się różnobarwne korony drzew.

Smutek wyszedł z mieszkania, znalazł samochód wernie czekający przy krawężniku i pojechał do pracy z uczuciem, że jest szczęśliwym człowiekiem. Zdarzają się takie chwile. Są one nie mniej złudne niż okresy bezdennej melancholii.

O konsumpcji książek

Odkąd Ada nauczyła się czytać, przeczytała wiele książek. Czytanie nie było ani pracą, ani hobby i nie wynikało z jakichś szczególnych zainteresowań. Był to stan, w którym czas mijał, bo nie mógł inaczej, podczas gdy rozum Ady nastawił się na przyjmowanie pokarmu, tak że jego gwałtowny głód zmienił się w równomierne ssanie i trawienie. Dusza mogła tymczasem odetchnąć i na parę godzin położyć wysoko nogi niczym wyczerpany maszynista, który przez całą dobę musi obsługiwać niezwykle skomplikowaną aparaturę. Czytanie przypominało wkładanie pni drzew do piły tartacznej. Ponieważ z grubych, twardych kłoców można było najdłużej czerpać pożywkę, Ada lubiła przede wszystkim literaturę przedostatniego stulecia i wszystko, co napisano przed drugą wojną światową. Uważała, że nowsze utwory odwracają uwagę od rzeczy wielkich, są lekkie i słodkie jak popcorn, który trzeba konsumować, gdy tymczasem umysł jest zajęty innymi sprawami. Odnosiło się to zwłaszcza do książek niemieckich autorów, ale nie takich jak Arno Schmidt, na którego cześć Ada od czasu do czasu wymyślała jakieś porównanie, dotyczące księżycy, po czym zapisywała je w swoim rzadko używanym dzienniku *Do Selmy*:

„Księżyc, brejowaty niczym kleks ziemniaków purée, nasmarowany na niebie dziecięcą ręką. Księżyc, nieregu-

larnie upieczona pita. Księżyc z rodzaju tych, których nikt nie zauważa, przyzywający do siebie skinieniem stado obłoków”.

Pierwszą wojnę światową Ada wyobrażała sobie jako czarny płaszcz, który na cztery lata zarzucono na kontynent i w którego cieniu wydarzyło się coś, czego nie dało się wyrazić słowami. Kiedy ów płaszcz się podniósł, odsłonił świat pogrążony w chaosie i burzach. Druga wojna światowa natomiast była otchłanią. Nurt dziejów, spadający z hukiem z wyżyn historii, runął w nią niepowstrzymany, zamiast łagodnie rozlać się na równinach niedawnej przeszłości i ponieść arkę o nazwie Teraźniejszość ku morzu o nazwie Przyszłość. Po tej stronie otchłani pozostało koryto wyschłej rzeki, aż wreszcie tu i tam woda zaczęła sączyć się spod ziemi, tworząc najpierw strumyk, a później potok. W końcu dobrze umocniony i skanalizowany, stał się wystarczająco duży, aby osiemdziesiąt milionów demokratów mogło wiosłować z biegiem rzeki w jedno- i dwuosobowych kajakach. Pięknie było wędrować z prądem, kłaść się na suchym skraju otchłani i zarzucać długą wędkę. Ryby wyławiane przez Adę ze spadających naprzeciwko mas wody były potężne i dziwaczne jak prehistoryczne zwierzęta: Dostojewski, Balzac czy Mann.

W jednej z niższych klas Ada miała przyjaciółkę, której opowiadała wszystko, co przeczytała. Przyjaciółka o imieniu Selma uczęszczała do równoległej klasy i pochodziła z Bośni i Hercegowiny, która z czasem kojarzyła jej się jedynie z musem śliwkowym i blaskiem słońca. Kiedy wojna zmieniła pachnącą latem ojczyznę Selmy w krwawe piekło, dziewczynka z rodzicami zamieszkała w Niemczech. Miała psa, z którym popołudniami wędrowały obie po lasach Kottenforstu, przeważnie śladem grupy saren lub stada dzików, aż pod wieczór pies przyprowadzał je do

domu, całe w liściach i gałązkach. Gdy tak szły, Ada mówiła, a Selma słuchała. Interesowała się wszystkim, wszelkiego rodzaju historiami, które Ada umiała opowiadać. Niekompletne streszczenie *Buddenbrooków* z wieloma logicznymi lukami było równie wiele warte co cała seria miłostek z *Komedii ludzkiej*, staccato nowel Zweiga lub kilka uwag o istocie czasoprzestrzeni.

Kiedy jeden z licznych obowiązków rodzinnych uniemożliwiał Selmie spotkanie z Adą, Ada pisała listy, które z czasem utworzyły dziennik zatytułowany *Do Selmy*. Po streszczeniach utworów literackich nastąpiły relacje ze świata myśli i uczuć. Ada komunikowała, że nie spotkała dotąd na świecie niczego piękniejszego od Selmy, że drzewa w lesie odwracają głowy, oglądając się za nimi, że kłania się im cały Kottenforst, ptaki zmieniają dla nich swoje trele, a Ada jest dumna i szczęśliwa, mogąc swoimi opowieściami choć na chwilę zagościć w duchowej krainie Selmy. Za kilka lat, obiecywał dziennik Ady, pojawią się inni, którzy będą potrafili zgrabniej wyrazić swój zachwyt niż las, ptaki i ona sama. Do tej chwili jednak pragnie mieć Selmę wyłącznie dla siebie. Przyjaciółka zagwarantowała jej to piśmiennie na jednej z wolnych stron dziennika i od tej pory pozwalała Adzie podczas wędrówek i w szkolnej ubikacji obejmować się ramieniem i całować w usta.

Z zapisków Ady wynikało, że zanim doszło do zerwania, streściła Selmie, ogólnie rzecz biorąc, ponad trzysta książek, nowel i opowiadań. Gdy matka i ojczym zapowiedzieli letni urlop w górach, Ada zażądała, by mogła zostać u Selmy, którą nazywała „swoją żoną”. Nieco później siedziała na tarasie górskiego domku, patrzyła na skalne grzbiety gigantów, które nazbyt gęsto piętrzyły się przed nią, czytała książki i słuchała pewnej piosenki z kasety wyjętej z samochodowego radia ojczyma. Kiedy piosen-

ka się kończyła, Ada cofała taśmę i słuchała od nowa. Niepodobna opowiedzieć, co wyzwalala w niej ta muzyka. Była niczym ścieżka dźwiękowa, stanowiąca podkład dla rozpacz, tęsknoty za Selmą i nawarstwionego ciśnienia nieopowiedzianych historii, które ulatywały w zapomnienie, bijąc na oślep i bez ustanku krzycząc.

Piosenka miała refren, który Ada, jeszcze w niewielkim stopniu władająca językiem angielskim, rozumiała jako „Sir Don Camisi, to me”. Kilka linijek dalej pojawiały się słowa: „I love you”. W listach, które ojczym raz w tygodniu zawoził na miejscową pocztę, Ada prosiła Selmę, by nie zapomniała o swojej przyjaciółce, błagała, by troszczyła się o dziennik, pozostawiony jej pieczy, streszczała w kilku zdaniach parę świeżo przeczytanych książek, a przede wszystkim opowiadała o sprawach, które wyszeptało jej milczenie stojących dookoła olbrzymów górskich. Listy były podpisane „Don Camisi”. Było to imię samotności.

Po powrocie Ady rodzice Selmy znaleźli dziennik i przechwycili wszystkie listy. Był to koniec wszelkich spacerów po lesie. Selma nie odpowiadała na karteczki, które Ada podsuwała jej na dziedzińcu szkolnym. Walka o Selmę skończyła się nagle, gdy jej rodzina została wydalona i wróciła do miejscowości w Bośni, której nazwy Ada nie zdołała zapamiętać. Całe lata później odkryła ją w notatkach do referatu na lekcję historii: Višegrad. Był tam most na Drinie, noszący dawną inskrypcję: „Płyn, Drino, płyn i opowiadaj”. Ada trzykrotnie powtórzyła to zaklęcie i zachciało jej się płakać, choć nie wiedziała, czy to z radości, czy też z bólu. Jak to zwykle bywa z przypadkami, w tym samym tygodniu Don Camisi został zabity przez rzeczywistość. Na rynek wszedł remiks hitu z lat osiemdziesiątych: *Words don't come easy to me*.

Nie pojawiła się nowa Selma ani też nikt, kto chciałby słuchać. Ada nauczyła się czytać różne historie, choć nie miała ich komu opowiadać. Nadal prowadziła dziennik, ale nie udawało się jej napisać więcej niż kilka linijek w tygodniu.

Aby wszystkie duchowe procesy mogły przebiegać bez zakłóceń, Ada przeważnie zamykała się w łazience. W drodze do niej przystawała przed trzema regałami w pokoju stołowym. Z zasobów wcześniej zmarłego ojca brała jedną z grubych, kiczowatych książek, stanowiących najistotniejszą część jego spuścizny. Ojczym, którego Ada od czasu jego ostatniego awansu nazywała już tylko „generałem brygady”, opuścił matkę i ją, nie zabierając swoich książek; z jego regału Ada wybierała jakieś dzieło o badaniu czasu, coś o astronomii, filozofii albo o polityce realnej Bismarcka. Wreszcie ze zbioru nowych nabytków wyciągała jeden lub dwa owinięte w lśniący papier tomy z kolorowymi obrazkami na okładkach. Przemykając szybko i cicho po parkiecie mieszkania w starym budownictwie, a potem wchodząc nowoczesnymi krętymi schodami, niosła tę stertę na piętro, gdzie znajdowała się łazienka.

Po wyprowadzce generała brygady zaczęła się przemiana Ady w lej, w głąb którego można było wylać każde zmartwienie tak, żeby ani jedna kropla nie spadła obok ani też nigdy z powrotem się nie pojawiła. Matka wlewała do tego leja potoki słów, o ile udało się jej zdybać Adę. Charakter córki wykazywał bowiem uderzające podobieństwo do charakteru generała, który odszedł, a ponieważ nie byli ze sobą spokrewnieni, zmiany, które drogą psychiczną przeniosły się na pasierbicę niczym choroba zakaźna, należało tłumaczyć dziesięcioma latami pozostawania pod jego wpływem. Matka przeciwdziałała temu za pomocą słowotoku, który z czasem stał się istotą jej szcząt-

kowych obowiązków macierzyńskich, kiedy to po zniknięciu drugiego męża zaprzestała jakiejkolwiek innej pracy wychowawczej. Ze wszystkich sił zwalczała generała we własnej córce, i nie było łatwo się z tego wywinąć. Drzwi do pokoju Ady nie stanowiły oczywiście żadnej naturalnej granicy. Ani jedne drzwi w mieszkaniu nie posiadały klucza, wystarczyło więc zapukać, aby zgodnie z zasadami uprzejmości uzyskać prawo wstępu. Każdą próbę obrony córki przed duchowym zanieczyszczeniem matka uważała za nowy wybuch infekcji, toteż proces wyładowywania się zawsze przechodził u niej swobodnie w wojnę zaczepną prowadzoną dla dobra Ady.

Pewnego dnia Ada dokonała radosnego odkrycia, że drzwi łazienki stanowią zaporę, która, wzmocniona zasadami ochrony prywatności, może stać się bastionem. Zaczęła więc systematycznie wydłużać pobyty w ubikacji, aż wreszcie, dobrze zaopatrzona, zniknęła na kilka godzin za zamkniętymi drzwiami, włączała ogrzewanie, kładła się do pustej wanny albo siadała na desce klozetowej i czytała. Od czasu do czasu matka wchodziła na piętro i pukała, pytając, jak długo to potrwa. Jeszcze chwilę, odpowiadała Ada, niech lepiej skorzysta na dole z ubikacji dla gości. Ponieważ matka traktowała kobiecą urodę nie jak dar, lecz jak obowiązek, zasadniczo nie miała nic przeciw temu, że młoda dziewczyna spędza pół dnia przed lustrem i że zwłaszcza niedbała dotąd Ada poświęca naraz tyle uwagi pielęgnacji ciała. Przez chwilę stała niezdecydowana pod drzwiami, potem jednak jej buty na wysokich obcasach zaczęły stukać na krętych schodach, aż wreszcie ich odgłos giniął gdzieś w lustrzanych przestrzeniach parteru.

Od tej pory matka podejmowała, zwłaszcza przy stole, werbalne krucjaty przeciw Adzie, której repertuar lektur wzrósł tymczasem z trzech do czterech książek tygodnio-

wo. Zanim w życiu Ady pojawił się ktoś, kto znalazł lepsze zajęcie dla piły w jej głowie, niż kiedykolwiek potrafiła to zrobić książka, zanim owo spotkanie wyгнаło ją ze świata literatury w tak zwany prawdziwy świat i zanim w ogóle wszystko się zmieniło, musiał upłynąć jeszcze cały rok, kiedy to wydarzyło się mnóstwo rzeczy, które Adę niewiele obchodziły.

Proszę do mojego gabinetu. Ada nienawidzi głupoty

W tym roku szkolnym Smutek nie dostał wychowawstwa, miał za to czas, aby mentalnie i praktycznie nastawić się na pierwsze w swojej karierze zajęcia fakultatywne. Tuż przed odejściem na emeryturę Singsaal przydzielił mu na rok 2003 fakultet z niemieckiego w obecnej dziesiątej klasie i ogłosił tę decyzję całemu gronu pedagogicznemu, a przede wszystkim Teuterowi. Smutek najchętniej ucałowałby Singsaala w pierścień. Model rozszerzonego fakultetu, przygotowującego do studiów na uniwersytecie w Moguncji, realizowano w „Blochu” już wtedy, gdy szkoła jeszcze w ogóle nie nosiła tego imienia, tak że więzi międzyludzkie rozluźniały się już w jedenastej klasie, gdy uczniowie zaczynali uczęszczać na zajęcia z przedmiotów związanych z przyszłymi studiami. Dla Smutka oznaczało to od następnego roku sześć godzin tygodniowo spędzanych z grupą szesnastolatków, referaty, dyskusje, *creative writing*, wycieczki, tradycyjne marsze na orientację w pierwszym semestrze jedenastej klasy i wspólne przygotowywanie się do matury.

Trzy lata to szmat czasu. Poznają się, być może nawet jakoś zaprzyjaźnią. Niejeden z pewnością nie zapala do niego sympatią, ale w końcu wszyscy zaczną widzieć go takim, jaki jest: wprawdzie człowiekiem nauczającym, ale

bądź co bądź człowiekiem. Smutek bardzo cierpiał wskutek tego, że zawsze sprowadzano jego osobę do funkcji, ze względu na którą wszyscy mu się przypochlebiali albo go okłamywali, oblegali, wykorzystywali lub przekupywali. Pragnął więzi międzyludzkich. Nie uważał swoich uczniów za głupców i nie czuł jakiejś szczególnej przewagi nad nimi z powodu wieku ani wiedzy, miał może tylko trochę więcej doświadczenia. Chociaż jednak wiedział, że z ich punktu widzenia, mając trzydzieści siedem lat, sterczy jak prastare drzewo ponad łąką, której trawy i kwiaty zgodnie z rytmem narodzin i śmierci nigdy nie przekraczają określonego wieku, chociaż wiedział, że dziesiąta klasa zawsze będzie dziesiątą klasą, która ani się nie postarzeje, ani też jakoś istotnie nie zmieni, podczas gdy upływający czas będzie jego, Smutka, niósł ku śmierci, z roku na rok coraz bliższej, chociaż nauczył się na uniwersytecie, że fraternizowanie się z uczniami jest dla nauczyciela niebezpieczne, był absolutnie przekonany, że najlepiej porozumieją się, gdy będą rozmawiać jak równy z równym. W końcu będzie mógł na radach pedagogicznych mówić o „swoim fakultecie”. W końcu przestanie jak wolny strzelec służyć wszystkim klasom i żadnej. W końcu nie będzie sam.

Już teraz zaczął rozważać, które książki włączy do programu: obowiązkowe partie *Effi Briest*, *Werthera* i *Błaszane go bębenka* postanowił ograniczyć do znośnych rozmiarów, a zalecenia rady pedagogicznej zinterpretować w ten sposób, że wiedzę o języku, etyce i estetyce, jak również podstawy literaturoznawstwa można wspaniale przekazać na podstawie najbardziej monstrualnego dzieła w historii literatury niemieckojęzycznej. Jeśli je zrozumieją, zrozumieją wszystko. Jeśli je przeczytają, będzie to znaczyło, że przeczytali wszystko. Jeśli będą o tym rozmawiać, będą mogli rozmawiać o wszystkim. Smutek był wielbicielem

Człowieka bez właściwości, zdecydowanym przedstawić uczniom przynajmniej fragmenty tego dzieła. Fragmenty o istocie i treści wielkiej idei.

Na razie praca pozwalała mu na dużą swobodę. Nie zamierzał popaść w gnuśność, która niewątpliwie stanowi pierwotny stan ludzkiej natury. Utrzymując się po wakacyjnych tygodniach uczucie szczęścia zamierzał raczej zainwestować w stworzenie szkolnego zespołu lekkoatletycznego. Pragnął obudzić w uczniach sportowego ducha, rozważnie przysposobić ich do treningu, wspierać najzdolniejszych, a najpóźniej za dwa lata pojechać z niewielką gromadką radosnych młodych ludzi na jakieś ważne zawody. Nadszedł czas, aby w „Blochu” wywalczyć sobie kawałek własnego świata.

Każdego ranka, idąc z domu do samochodu, Smutek wymachiwał aktówką trzymaną w jednej, a torbą sportową w drugiej ręce. Wymachiwał nimi również w drodze z parkingu dla nauczycieli do budynku szkoły i na klatce schodowej, gdzie brał po dwa, trzy stopnie naraz, aż wpadał w ramiona Teutera. Dyrektor stał oparty o poręcz na najwyższym podeście schodów, jakby właśnie na niego czekał.

- Ten tego, panie Smutek - mówił - jeśli ma pan chwilę czasu przed rozpoczęciem lekcji, proszę do mojego gabinetu.

Idąc za nim, Smutek trzymał ręce z torbami spokojnie przy sobie. Teuter jako jedyny nie przechodził z kolegami na „ty”, co teraz bardzo mu się przydało, podejrzewano więc, że już od lat szykował się do objęcia stanowiska dyrektora. Każda żaba dąży potajemnie do zdobycia władzy nad światem, myślał Smutek. On sam, jeszcze kiedy mieszkał w Berlinie Zachodnim, grał w koszykówkę w DTV Charlottenburg: nawet dzisiaj trafiał pewnie pił-

ką do kosza z linii za trzy punkty i stojąc w miejscu, wyskakiwał wystarczająco wysoko, aby doskonale zawiesić się na koszu. Nie potrzebował woli mocy, zawsze patrzył na rzeczy z góry. Był azylantem, a nie żabą. Teuter natomiast chętnie czatował na górnym podejściu schodów i równie ochoczo zapraszał ludzi do swojego gabinetu. Uwielbiał prosić o minutkę ich czasu, wiedząc dobrze, że choćby byli w największym stresie, i tak za nim podążą. Uwielbiał dwuznaczną uprzejmość kogoś, kto nie musi się na nią silić.

Smutek spotykał go na dziedzińcu szkolnym, za salą gimnastyczną, w toalecie, w drzwiach klasy, na klatce schodowej. Proszę na minutkę do mojego gabinetu. Powody były błahe, Teuter po prostu demonstrował swoją obecność. Końcówką pióra marki Mont Blanc stukał o nieskazitelne siekacze, wyjaśniał jakąś błahostkę i jeszcze raz wyrażał nadzieję, osobistą i szczególną, na dobrą współpracę w przyszłości.

Smutek wynajdywał sobie okrężne drogi. Nie szedł do sali gimnastycznej prosto przez parking, tylko okrążył gmach szkoły, przechodził przez dziedziniec dla palaczy, a potem znów maszerował kawałek ulicą. W pokoju nauczycielskim pokazywał się jak najrzadziej, a kiedy się dało, korzystał z toalety dla uczniów. Gdy opowiadał o tym żonie, naśmiewała się z niego.

- Jeśli będziesz tak dalej robił, niedługo zaczniesz ze strachu przed dyrektorem wstawać rano z bólem brzucha.

Miała rację. Tymczasem jednak przyzwyczyił się do drogi przez dziedziniec dla palaczy. Często widywał tam Adę, która stała z boku grupy uczniów, z na wpół zamkniętymi oczami zaciągała się papierosem i nie uczestniczyła w rozmowach. Niekiedy spoglądała w jego kierunku. Nie wiedział, ile ta dziewczyna ma lat; ona natomiast wiedzia-

ła, że on mimo to nie zabroni jej palić. Przy dwudziestym spotkaniu skinęli na swój widok głowami. Smutkowi przypomniało się, że przed wakacjami spotkał ją w tunelu powietrznym w towarzystwie całkiem różnej od niej matki, która, czarnowłosa, delikatna i podekscytowana, podrygiwała obok silnej, letargicznej córki. Na każdej przerwie Ada stała w tym samym miejscu niczym nienależący do nikogo przedmiot. Jej nieobecne spojrzenie było wrogie, twarz i ciało zdawały się coś ukrywać, toteż Smutek zapytywał się w duchu, czy ona sama naprawdę wie, o co tu chodzi.

Szkoła dawała schronienie wielu dzieciom *last-call*, które po licznych relegacjach z różnych szkół, otrzymywały tutaj ostatnią szansę, by się ustatkować. „Bloch” serwował im pedagogiczną huśtawkę, łącząc wielkoduszność z despotyzmem, marchewkę z kijem, tak że większości z nich udawało się w końcu, w stanie umiarkowanego buntu, pomieszanego z rzadkimi chwilami adaptacji, uzyskać maturę. Już dawniej Teuter ukuł powiedzonko, że „Bloch” jest jak ojciec, który marnotrawnemu synowi okazuje więcej miłości i wdzięczności niż wszystkim grzecznym i wiernym dzieciom razem wziętym, przy czym nigdy nie było jasne, czy dyrektor akceptuje to jako wyraz paradoksalnej biblijnej sprawiedliwości, czy też chce ją ośmieszyć. Za każdym razem, gdy Smutek kroczył przez dziedziniec dla palaczy, zastanawiał się, czy ta dziewczyna zalicza się do synów marnotrawnych, czy chodzi do dziesiątej klasy i czy w przyszłym roku wybierze język niemiecki jako najważniejszy przedmiot fakultatywny, a tym samym znajdzie się w gronie jęgo podopiecznych.

Owe rozważania wynikały z czystej ciekawości, nie zaś z potrzeby niesienia pomocy temu człowieczkowi o twarzy naznaczonej wścikłością. Smutek zawsze uwa-

żał powołanie pedagogiczne, o ile rozumiało się je jako działanie na rzecz rozwoju ucznia, za groteskę, śmieszną walkę z wiatrakami. Nie wierzył, by można było nauczyć drugiego człowieka, jak ma żyć. Smutek mógł tylko być. I niekiedy słuchać. Angażować wszystkie siły w wysyłanie niemego przekazu o tym, że szczęście człowieka polega przede wszystkim na braku biedy, a poza tym jest niewiele rzeczy, za którymi trzeba gonić. Że uczniowie powinni się uspokoić. Że perfidna, bezgłówna wojna w czasie pokoju jest normalnym stanem, w którym da się wytrzymać. W gruncie rzeczy Smutek chciał im opowiedzieć najkrótszy ze wszystkich dowcipów: Spotyka się dwu ludzi. Jeden z nich mówi: Jestem szczęśliwy.

Nie chciał niczego więcej.

Przeważnie coś przerywało mu te rozważania: a to dotarcie do sali gimnastycznej, a to spotkanie z jakimś nauczycielem lub uczniem, to znów ostatnie przygotowania do mającej nastąpić lekcji. Potem zapominał o swoich dywagacjach. Nie były zresztą aż tak istotne.

Istotne były wrześnie wybory do Bundestagu. Frontowe okopy w pokoju nauczycielskim się pogłębiały, młodsze klasy zamiast w zbójców i żandarmów bawiły się w George'a Busha i Bin Ladena, a na dziedzińcu szkolnym młodzież okrzyczana apolityczną spierała się o sytuację na świecie. Niczym komary tańczyły wokół ich głów hasła: „broń masowego rażenia”, „handel światowy” i „ropa”. Jeden brzydził się walką kultur, drugi arabskimi dyktatorami, inny znowu po raz pierwszy w życiu cieszył się, że jest Niemcem, a wszyscy razem chcieli, aby z powodu demonstracji odwołano lekcje.

Kiedyś na dużej przerwie Smutek oparł się o ścianę i usłyszał rozmowę grupy młodzieży. Rej wodziła księżniczka z niemodną już fryzurą afro. Miała na imię Joanna,

nazywała siebie „Joe” i mimo sarnich oczu oraz bioder jak u gazeli miała wysokie mniemanie o swoim ilorazie inteligencji. Na dziedzińcu dla palaczy zawsze zasłaniała Adę, ustawiając się do niej plecami. Otaczali ją przeważnie słuchacze płci męskiej, którzy spoglądając w milczeniu na jej szyję i dekolt, w odpowiednich chwilach potakiwali głowami.

Motywacja Amerykanów nie ma tu żadnego znaczenia, mówiła Joe. Należy pomóc kobietom i dzieciom w Iraku, a kto się od tego uchyla, sam dopuszcza się zbrodni. Zbrodni przeciw ludzkości.

- Joanna! - W tym kręgu rzadko słyszano głos Ady. Kiedy Joe się odwróciła, Ada, samotnie niczym oskarżona, stała przed grupą uczniów, na których twarzach malował się taki sam wyraz zdumienia, jak na jej twarzy. - Twoim zdaniem - powiedziała Ada - zbrodnie przeciw ludzkości uprawniają do interwencji militarnej?

- Tak właśnie, skarbie.

Joe uśmiechnęła się zadowolona, niczym myśliwy, któremu po wielodniowych czatach w jednym miejscu dzikie zwierzę po raz pierwszy nawinęło się pod flintę. Smutek widział po niej, że już od dłuższego czasu czeka, by zmierzyć się w otwartej walce z tą jasnowłosą stoiczką z nieodłącznym papierosem między wargami.

- Skoro więc Niemcy nie interweniują w Iraku - spytała Ada - popełniają taką zbrodnię?

Zdaje się, że Joe zaczęła rozumieć, iż Ada chce ją ośmieszyć. Uśmiech zniknął z jej twarzy i wykwitł na ustach Ady, która mówiąc, patrzyła spod półprzymkniętych powiek w ziemię i trzymała papierosa tuż przy wargach, ale go nie paliła.

- A zatem nie pozostaje nam chyba nic innego - ciągnęła dalej Ada - jak tylko oczekiwać pierwszych nalotów

bombowych na Berlin. Jestem całkiem pewna, że ty, droga Joanno, staniesz w pierwszym szeregu, aby duszą i ciałem powitać amerykańskich wyzwolicieli.

Z pewnością żaden ze słuchaczy nigdy nie słyszał Ady wygłaszającej tak długą kwestię. Ktoś podniósł ręce, jakby chciał zaklaskać, ale tylko bezradnie machał nimi przez chwilę w powietrzu. Dopiero gdy Joe otworzyła usta i ponownie je zamknęła, rozległ się śmiech. Chłopak użył swoich podniesionych rąk, aby poklepać Joe po plecach, bardzo nisko, w miejscu, które można by właściwie nazwać już „tyłkiem”.

- No, Joanna, idziemy łapać bomby?

Joe odwróciła się w prawo, potem w lewo, zobaczyła, że drogę zagradzają jej uczniowie, którzy, z rękami w kieszeniach, szczerze bawią się jej kosztem, zdecydowała się więc na odwrót.

- Chciałam jeszcze coś dodać. - Ręka Ady zamknęła się niczym kajdanki na ramieniu Joe i odwróciła ją o sto osiemdziesiąt stopni. - W każdym razie Schröder zostanie po wtórnie wybrany. - Odepchnęła od siebie książniczkę, tak że ta się potknęła, po czym odwróciła się od niej. - Nienawidzę głupoty - szepnęła. - Jak ja nienawidzę głupoty!

Dzwonek na lekcję rozpedził grupę niczym wiatr kupkę liści. Dziesięć dni później odbyły się wybory.

Siedząc przed telewizorem i obserwując prognozy wyborcze, Smutek wbrew woli nieustannie myślał o Teuterze. Wyobrażał go sobie, jak pochylony do przodu siedzi na sofie w starannie urządzonej sypialni i oburącz pociera szyjkę zamkniętej butelki szampana. Nazajutrz rano Smutek i jego żona usłyszeli ostateczne wyniki przez radio stojące w kuchni. Smutek nie krył radości.

- Dzięki temu Polska przystąpi szybciej do UE - powiedział na pożegnanie, a jego żona zasyczała przez zęby jak żmija.

Było dziecinadą, żeby właśnie ten poniedziałkowy poranek wybrać sobie na audiencję u Teutera, który z pewnością miał zły humor, i przedstawić mu sprawę zespołu lekkoatletycznego. Ale Teuter zasłużył sobie na lekcję w sportowym duchu podczas miłej rozmowy ze szczęśliwym zwycięzcą. Kiedy więc spotkali się na klatce schodowej, Smutek nie mógł się oprzeć.

- Gdyby znalazł pan chwilkę czasu - powiedział - chętnie zaszedłbym na dużej przerwie do pańskiego gabinetu.

Sposób, w jaki Teuter pochylił głowę na znak zgody, i w jaki bez słów go pozdrowił, już na poły odwrócony, z podniesioną ręką, którą machał albo odganiał muchę, nieco wynagrodził Smutkowi fakt, że akurat dzisiaj miał zamiar zrobić z siebie idiotę, przedstawiając pomysł, na którego realizacji tak bardzo mu zależało.

Teraźniejszość jest tylko przyszłą przeszłością.
Ada i Smutek wylatują i zamieniają
pierwsze słowa

Podczas kolejnej lekcji Smutek zastanawiał się nad tym, jaki inny pomysł mógłby przedstawić Teuterowi, aby rozmowę o lekkiej atletyce przełożyć na kiedy indziej; ponieważ jednak zwykle brakowało mu wyobraźni, również tym razem nic nie przyszło mu do głowy. Piętro nad nim uczył w Xb Höfi, także zmagający się z pewnym pomysłem, na którego realizacji bardzo mu zależało. Podjął właśnie jedną z prób przybliżenia uczniom własnej tezy. Zdaniem Höfięgo historia nie ma nic wspólnego z przeszłością. Mówił chętnie o historyzmie terażniejszości.

Całą tak zwaną terażniejszość można pojmować jedynie w sposób historyczny, czyli jako fragment przyszłej przeszłości. Przyczyną mnożenia się bredni na wszystkich kanałach, bredni tworzonych wskutek prób bezpośredniego powiedzenia czegokolwiek o naszych czasach, jest pomijanie tego problemu we współczesnych analizach. Nawet komputer nie potrafi dać trafnej oceny procesów, przebiegających w danej chwili w jego wnętrzu, umie natomiast wypowiedzieć się na temat tego, co się właśnie zdarzyło. Również człowiek potrzebuje małego dystansu – przysłowiowej sekundy, aby postrzec swój świat, nie mó-

wiąc o wielowarstwowych gmachach przyczyn i skutków, wznoszonych w każdej chwili wskutek koegzystencji ludzi, które wymagają naprawdę potężnego dystansu czasowego, sprawiającego, że ulegamy racjonalnemu dążeniu do porządku. Współczesność jest nieprzeniknioną gmatwaniną, przeszłość natomiast czymś opływowym. Chcąc wprowadzić nieco dyscypliny we współczesny chaos, należy potraktować go jako historię, a tym samym jako coś przeszłego. Höfi nazywał to „fikcyjnym spojrzeniem wstecz”, ale do tej pory nie udało mu się wzbudzić niczyjzego entuzjazmu dla tej idei.

Ponieważ ze względu na karłowatą posturę, mówiąc, patrzył w ziemię i zaledwie od czasu do czasu zaszczycił słuchaczy spojrzeniem, mknącym w górę jak błyskawica, nie zauważył, że pod wpływem jego słów jedna z uczennic zmieniła się w nieruchome odbicie samej siebie. Siedziała z wysoko podciągniętymi kolanami, utkwivszy wzrok w blacie stołu. Właśnie w tym momencie Ada przypomniała sobie strach, który nadał szarawy odcień całemu jej dzieciństwu, od chwili gdy odkryła, że w żaden sposób niepodobna ogarnąć trwającej sekundy, w której świat, a tym samym również Ada jako taka delektują się swoim duchowym i cielesnym istnieniem. Owa sekunda mija zawsze wtedy, gdy myśl lub czucie właśnie się na nią kierują. Ada już chyba jako siedmiolatka zaczęła wykonywać pewne ćwiczenie, w trakcie którego trwała nieruchomo, wsłuchiwała się w siebie i powtarzając w myślach monotonna mantrę: „Jestem – teraz – jestem – teraz”, czekała na terażniejszą sekundę niczym rybak wypatrujący nad górskim potokiem pstrąga, którego zamierzał schwytać gołą ręką. Kiedy rodzice kilkakrotnie zobaczyli ją przykucniętą w milczeniu pod ścianą, zaczęli się obawiać, że ma skłonności autystyczne. Ada nie zdołała wytłumaczyć im, co

i w jaki sposób próbuje osiągnąć. Ponieważ zabronili jej siedzieć niemo w kucki pod ścianą, spędzała bezsenne noce w łóżku, w obawie przed szaleństwem, dla którego nie znajdowała słów. Z biegiem lat problem zbladł, co oznaczało jedynie tyle, że Ada nauczyła się go ignorować.

Teraz nie była pewna, czy przyczyna, dla której Höfi wygłasza swoje wywody, ma coś wspólnego z jej dziecięcą paranoją, dotyczącą teraźniejszości. W każdym razie lepiej niż wszyscy inni rozumiała, o czym jest mowa.

Höfi usiłował właśnie wyjaśnić, na czym polega fikcyjne spojrzenie wstecz.

- Wyobraźcie sobie, że jesteśmy historykami w roku 2020. Spoglądając wstecz, oceniamy wyniki wyborów do Bundestagu z roku 2002 i badamy ich związki z kryzysem międzynarodowym wywołanym przez terror w Iraku. No?

Milczenie. Höfi wiedział, że jego legendarny cynizm powstrzymuje uczniów od udzielania naiwnych odpowiedzi. Wiedział również, iż poziom jego lekcji jest dla większości zbyt wysoki. Zabiegał o tych, którzy byli gotowi sprostać wygórowanym wymaganiom. Cała reszta, systematycznie odrabiając prace domowe, mogła liczyć na ocenę dostateczną.

- Joe?

Zagadnięta dziewczyna podniosła z przerażeniem głowę z fryzurą afro i zaszeleściła pod ławką kolorowym czasopismem, które potajemnie czytała. Höfi powtórzył pytanie.

- W roku dwadzieścia-dwadzieścia - Joe spróbowała zażartować - będę ministrem spraw zagranicznych i rozwiązywanie takich problemów powierzę swojemu sztabowi doradców.

- Droga Joanno - odezwała się Ada, przerywając ciszę, która zapadła - gdybyś miała tyle samo zwojów móż-

gowych co loków na głowie, rzadziej bolałby mnie nerw wzrokowy.

- Słucham?

- Od przewracania oczami.

Na dworze ktoś usiłował uruchomić silnik starego citroena. Jęk rozrusznika stawał się z każdą próbą krótszy i słabszy.

- Droga Ado - powiedział Höfi - możesz użyć swojego nerwu wzrokowego do obejrzenia sobie drzwi klasy. I to z zewnątrz. Klamkę trzymaj naciśniętą do dołu. Jasne?

- Panie Höfling - zaprotestowała Ada - chciałam właściwie powiedzieć co innego. Ja...

- Wyjdź.

Wbrew oczekiwaniom citroen jednak zaskoczył i odjechał. Wstając, Ada miała wrażenie, że podniosła się już kilka minut wcześniej i wygłosiła swoje wynurzenia na stojąco, z nadgorliwym posłuszeństwem wobec osławionej kary Höfiego. Zanim wyszła z klasy, wyjęła tytoń z kurtki i wsunęła go do kieszeni spodni. Cicho zamknęła drzwi z drugiej strony i lewą ręką nacisnęła klamkę. Höfi przez całą godzinę będzie zerkał na nią spod oka, mając ją w polu widzenia. Opierając jedną stopę o piętę drugiej, Ada ściągnęła adidas, podsunęła jeden tak blisko drzwi, że uniemożliwiał ich kołysanie, drugi zaś przywiązała sznurkami do klamki. I ostrożnie ją puściła. Trzymało się. Chodzenie po szkole w skarpetkach sprawiało dużą frajdę. W drodze do toalety Ada skręciła sobie papierosa, który udał się jej tak doskonale, jakby wyszedł prosto z maszyny.

Kiedy na krótko przed dzwonkiem chciała zabrać buty i zająć stosowną pozycję, drzwi się otworzyły i w szczelinie pojawiła się twarz Höfiego. Ada jeszcze nigdy nie patrzyła mu w oczy z tak bliska. Był równie niski jak ona. Oczy,

równomiernie brązowe, przypominały ślepią mądrego, miłego psa.

- Następnym razem wyjdiesz z klasy boso - powiedział Höfi cicho i mrugnął, zanim z powrotem zamknął drzwi.

Ada włożyła buty i jak dziecko zaczęła obunóż zeskakiwać po schodach, tak że Smutek, który wcześniej skończył lekcję i znajdował się w drodze na górę, już z daleka usłyszał tupanie. Kiedy się spotkali, uśmiechnął się do niej.

Teuter kazał mu czekać przed gabinetem, aż wreszcie zostało już tylko dziesięć minut do końca przerwy. Usiadłszy, Smutek wziął głęboki oddech i natychmiast zaczął mówić na temat celów i korzyści, płynących z istnienia szkolnej drużyny lekkoatletycznej. Posunął się do opisanego w jasnych barwach pedagogicznego potencjału stworzonej w ten sposób ponadklasowej wspólnoty, zobrazował, jaki rozgłos mogłyby przynieść „Blochowi” sukcesy osiągnięte podczas zawodów, i poczuł wyraźnie, że jeśli Teuter nadal będzie słuchał go z taką obojętnością, patrząc przy tym bezwstydnie na drzwi i końcówką pióra stukając o siekacze, on za chwilę zacznie pleść o *mens sana in corpore sano*. Wreszcie dyrektor mu przerwał, odwracając nadgarstek i podnosząc zegarek do oczu.

Odpowiedź była krótka. Nie może zabronić Smutkowi przedstawienia tych planów na najbliższej radzie pedagogicznej. Zwraca jednak uwagę na to, że poza lekcjami wuefu w szkole odbywają się popołudniowe zajęcia towarzystwa wioślarskiego, drużyny tenisowej, jak również zespołów koszykówki, siatkówki i badmintonu. Poza tym słabi uczniowie lepiej zrobiliby, poświęcając wolny czas na odrabianie prac domowych, a dobrzy raczej nie interesują się sportem. On, Teuter, nie jest zwolennikiem przenoszenia niezaspokojonych ambicji sportowych nauczycieli na potencjalne sukcesy dzieci.

Zarzuty Smutka zastopował władcym ruchem ręki, tak że ten musiał wypuścić z płuc niepotrzebnie nabrane powietrze. Teuter się uśmiechnął. Przejrzał tę małą, absurdalną i mściwą wyprawę i wiedział, że mimo iż Smutek wkroczył do jego gabinetu jako jednoosobowy pochód triumfalny, opuści go jako urzędnik instytucji prywatnoprawnej. Po to są hierarchie. I do tego się nadają.

- Ten tego, a co pan à propos sądzi o wynikach wyborów? - zapytał uprzejmie.

Smutek nie podniósł wzroku, patrząc na własne ręce, jakby było tam coś ciekawego do oglądania.

- Cieszę się - odpowiedział zwięźle.

- Z pańskim pochodzeniem czułbym dokładnie to samo - odparł Teuter. A od tej chwili jest zajęty. Wyjść.

Ta bezczelność bardziej zaskoczyła Smutka, niż zraniła. Jedna trzecia uczniów „Blocha” pochodziła z krajów wschodnioeuropejskich lub arabskich, i byli to najlepiej płacący uczniowie. Teuter nie był wrogiem cudzoziemców. Zaatakował Smutka z przyczyn czysto osobistych i delectował się świadomością, że ten drugi o tym wie. Wychodząc z gabinetu dyrektora, Smutek czuł porażkę jak oleistą, brzydko pachnącą ciecz na całym ciele.

Masy uczniów, tłoczące się do budynku, płynęły naprzeciw niego, gdy przez główne drzwi wychodził ze szkoły i skręcał za róg, aby przez dziedziniec dla palaczy dotrzeć do sali gimnastycznej. Byłby nieomal potrafił stojącą tam samotnie Adę. Wiedziony nedorzecznym impulsem, zadał sobie pytanie, czy dziewczyna czeka tu na niego. Stanąwszy przed nią, zauważył, że sięga mu ledwo do klatki piersiowej.

- Teraźniejszość to nic innego jak przyszła przeszłość - powiedziała, wpatrując się w jego splot słoneczny. - Rozumie pan coś z tego?

- Muszę się nad tym zastanowić. Lubisz lekkoatletykę?
- Biegam regularnie.
- Cieszę się.

Smutek niepostrzeżenie musnął wzrokiem jej ciało. Do tej pory nie myślał o tym, czy pod szerokimi spodniami dżinsowymi i bezkształtnym swetrem kryją się napakowane mięśnie i czy nieobecny wyraz twarzy tej dziewczyny nie jest jak piasek, którym maskują się drapieżne ryby, zasypując sobie łby płetwami.

- A co do terażniejszości - powiedział - trzeba być ostrożnym. Ona nie istnieje. W matematyce nazywa się to wartością przybliżoną.

Jej spojrzenie trafiło go z zaskoczenia. Swego rodzaju szarość o dziwnym odcieniu, źrenice małe jak łebki szpilek, chociaż nie świeciło słońce.

- Dziękuję.

Miała głos dorosłej kobiety. W drodze do sali gimnastycznej Smutek kpił z samego siebie. Pacholek, myślał. Lokajska natura. Polak z Paktu Warszawskiego. Może założyć tyle zespołów, ile mu się spodoba. Teuter nie jest Saddamem Husajnem. Gdzie podziała się duma wielowiekowej tradycji romantycznej? Co by na tę porażkę powiedzieli Mickiewicz, Słowacki i Zbigniew Herbert?

Powiedzieliby, że to niegrzecznie nie zapytać młodej dziewczyny o imię.

Smutek uczestniczy w przygotowaniach do pewnego wydarzenia

Smutek nie mógł prosić o pokazywanie majteczek ani zużytych tamponów. Ponieważ jednak nie miał możliwości sprawdzenia wymówki o okresowej niedyspozycji, od początku roku szkolnego prowadził dla wszystkich dziewcząt ze średnich klas kalendarze menstruacyjne, które uzupełniał z lekcji na lekcję i ukrywał w swoim peccie w postaci dokumentu o niepozornej nazwie. Anna: 15.8. do 20.8. Lola: 25.8. do? Grit: patrz Lola. Wydawał się sobie perwersyjny.

Ale dziewczęta nie były nawet leniwe. Pochodziły z dobrych domów i dlatego nie miały nadwagi. W dzieciństwie wszystkie uczęszczały na gimnastykę, pływanie, woltyżerkę. Tyle że ruch nie był *cool* i w czasach, gdy nawet wojny prowadzi się na monitorze komputera, brakowało do niego motywacji. Cóż miałyby przynieść im albo światu, że wyginają się na drążku lub skaczą przez linę? Smutek nie umiał odpowiedzieć na to pytanie, bo uważał je za zbędne. Kiedy pozwalał grać w rugby lub hokeja w hali, dziewczęta i chłopcy ruszali na siebie jak wojownicy z gwiazdnych wojen, podczas gdy reszta klasy, wrzeszcząc, stała na ławkach.

Po dwu godzinach wuefu, w czasie których uczniowie ze zwieszonymi ramionami, dyndającymi rękami i koły-

szącymi się podczas rozgrzewki ciałami snuli się wokół sali, wróciło zwątpienie z trudem zwalczone po spotkaniu z Teuterem, jak gdyby morze w połowie drogi zmieniło zamiar i przerwało proces odpływu, aby jeszcze raz zalać ląd. Podczas przerwy Smutek nie miał dyżuru, wszedł więc pięć stopni po schodach i stanął przy oknie na piętrze, gdzie mieściła się administracja szkoły. Tu panował spokój. Smutek przychodził w to miejsce, kiedy nie mógł już ścierpieć pokoju nauczycielskiego, gdzie koledzy rozsiadali się po kątach, poprawiali klasówki i nieomal w bezruchu usiłovali osiągnąć nirwanę, która czyniła ich prawie niewidocznymi. Pokoje nauczycielskie istniały już wtedy, zanim ktoś wpadł na pomysł utworzenia biur, mieszczących się w jednej wielkiej hali. Jedynie tutaj, na piątym piętrze, Smutek mógł w spokoju rozmyślać nad tym, dlaczego do diabła został nauczycielem.

Po korytarzu niosła się lekka woń obiadu, uniemożliwiając medytacyjne zatapianie się w ciągle tych samych myślach. Na szóstym piętrze, tuż nad Smutkiem, znajdowały się pokoje niewielkiego internatu, nazywanego przez uczniów „Klepiskiem”, ponieważ w bardzo krótkim czasie oddzielano tam ziarno od plew. Raczej z zakłopotania niż w myśl koncepcji pedagogicznej czy finansowej urzędowo kilka spartańskich pokoików, w których można było ulokować dwadzieścioro uczniów. Wystarczająco wielu rodziców szukało możliwości pozbycia się dzieci w sposób uznawany przez państwo i wystarczająco wielu dzieciom nie zależało na promocji do następnej klasy ani na tym, by zostać wartościowymi członkami społeczeństwa, dopóki były zmuszone mieszkać razem z rodzicami. Dwu byłych uczniów „Blocha” mieszkało w budynku szkolnym w charakterze wychowawców i co kilka lat oddawało swoje zajęcie w spadku następcom o mocnych nerwach.

Chociaż Smutek nie był miłośnikiem pieczeni rzymskiej ani purée ziemniaczanego, nic nie mógł poradzić na to, że ślinka napływała mu do ust. Otworzył okno, aby zamienić zapachy na obojętne wrześnie powietrze. Kiedy patrzył prosto w dół, dostawał zawrotów głowy. Stary gmach wraz z bocznymi skrzydłami przysiadł tłustym cielskiem na ciemnej asfaltowej powierzchni i wyglądał niczym albatros, który przed odlotem skulił się i zasnął. Miało się stąd widok na całą sąsiednią dzielnicę miasta. Między pożółkłymi koronami drzew w parku szkolnym odsłonił się przed Smutkiem fragment srebrnego Renu. Stara budowla z czasów Gründera była wystarczająco wysoka, by dało się tu skutecznie popełnić samobójstwo, toteż w ostatnim dziesięcioleciu dwóch uczniów i jeden wychowawca wykorzystali tę sposobność. Zdarzyło się to jeszcze przed epoką Smutka. Okna nie były wówczas zakratowane. Kto naprawdę chce się zabić, mawiał Teuter, ten się zabije. Nie powstrzymają go przed tym ani kraty, ani zamki.

W jasne poranki dzięki wilgotności powietrza nad rzeką słońce wschodziło tu zaiste jak nad Pacyfikiem, toteż Smutek już od pierwszego dnia pracy marzył o tym, żeby kiedyś o wczesnej porze usiąść ze swoją Śnieżką na najwyższym z budynków „Blocha” i obserwować, jak czerwona kula świetlna wyłania się na niebie zza Siebengebirge. Mogliby wypić butelkę szampana i kochać się wysoko nad dachami byłej niemieckiej stolicy.

W trakcie takich rozmyślań minął zły nastrój, Smutek zaczął więc cicho gwizdać; wydawał z siebie ciąg bezładnych dźwięków, co robił zawsze, gdy potrzebował wentyla dla tłumionego gniewu. Ostre brzmienie dzwonka sprawiło, że ułożone w różne wzory ludzkie figurki na dziedzińcu poruszyły się jak szkiełka w kalejdoskopie. Uczniowie podzielili się na trzy strumienie, uchodzące do różnych

wejść budynku. Cztery osoby zostały niczym grupka ptaków wędrownych, która straciła łączność ze swoją formacją i teraz obraduje nad nową trasą przelotu.

Na niskim murku, oddzielającym dziedziniec wyższych klas od strefy młodszej młodzieży, siedziała z fryzurą afro księżniczka, w której Smutek rozpoznał pewną siebie Joannę. Obstąpili ją trzej chłopcy z frakcji Stokrotek, którym spod nogawek džinsów wystawały spiczaste czubki butów z wężowej skóry. Nosili koszule w pastelowych kolorach, zatknięte dziarsko za pasek, i całkowicie podążali za tym nurtem mody, który jej najbardziej wytrwałym orderownikom kazał biegać w spódniczkach i malować sobie oczy. Smutek nie znał z imienia żadnego spośród tych trzech chłopaków.

Księżniczka coś opowiadała, używając do tego wszystkich czterech kończyn. Podniecona, co chwila odrzucała włosy do tyłu, jakby to była plaga czegoś, czego mimo wszelkich usiłowań nie da się odpędzić. Niezrozumiałe strzępki jej słów dochodziły na górę do Smutka. Zastłuchani chłopcy kołysali biodrami niczym narciarze zjazdowi, śmiali się i poważnieli, później zaś potakiwali głowami i zawierali przymierze, wykonując całą serię uderzeń w dłonie, podczas których szybko szepiali się palcami. Na zakończenie tryknęli się wzajemnie czołami.

Ładna choreografia. Smutek lubił rytuały, które od lat wyznaczają życie młodzieży, a po maturze natychmiast przestają odgrywać jakąkolwiek rolę. Wystarczy zebrać grupę ludzi, a od razu wymyślą zasady, stroje oraz tradycje i w jednej chwili tworzą pół państwa. Natomiast temat tej młodzieżowej dyskusji niewiele go obchodził. Uważał, że dobrym nauczycielem stał się dopiero wtedy, gdy wymyślił sobie coś, co ochrzcił mianem „życzliwej neutralności”.

Odwróciwszy się od okna, nie odczuwał już potrzeby rozmyślenia nad wyborem zawodu. Dzisiaj był pogodzony ze sobą i światem z jego wiecznym, nieustannym powrotem tego samego.

Księżniczka daje odpór

Nikt nie potrafi przewidzieć, jak często w ciągu roku, tygodnia czy wręcz godziny będzie świadkiem zdarzeń, stanowiących preludium, epilog lub niewielki wycinek większego wydarzenia, które może mieć straszne, nawet śmiertelne skutki, a którego poszczególne składniki, same w sobie, w ogóle nic nie mówią. Niemożność zinterpretowania takich epizodów chroni nas przed poczuciem winy. Nawet Adzie, gdyby wiedziała o mimowolnej obecności Smutka podczas opisanej wcześniej narady, nie przyszłoby później na myśl, by uczynić mu zarzut, iż odwrócił się od okna i szybko przebierając nogami, które zdawały się wzajemnie ścigać, zbiegł po schodach, aby w miarę punktualnie pojawić się na następnej lekcji.

Podczas krótkiej przerwy przed ostatnią lekcją Ada siedziała na rezerwarze w toalecie dla dziewcząt i z nogami na zamkniętej klapie od sedesu paliła przygotowanego na poprzedniej lekcji skręta.

Była sama. W sąsiedniej kabinie zbierało się zazwyczaj kilkoro dziewcząt i chłopców, którzy, ściśnięci jak w windzie, wytwarzali olbrzymią chmurę dymu, prowadząc przy tym rozmowy, których przebieg i treść miał związek z faktem, że ktoś obok się im przysłuchuje. Palenie w toalecie dla dziewcząt miało długą tradycję. U chłopców śmier-

działo, a na dolnych piętrach kibelki były zajęte przez maluchy, które musiały siusiać na każdej przerwie.

Ada zaczęła palić mniej więcej dwa lata temu, aby móc załapywać się na „cudzesy” lub częstować innych. Później przyszedł czas na skręty, bo to było tańsze i w lepszym stylu, i od tej pory zawsze miała przy sobie tytoń, którego nikt nie chciał. Nie robiło jej to już różnicy. Od kiedy Selma zniknęła w Bośni, Ada zerwała więzi społeczne, a ciasna kabina klozetowa tak czy owak wystarczała tylko dla niej jednej.

Ledwo zdążyła zaciągnąć się parę razy, rozległo się pukanie do drzwi. Jako czternastolatka Ada musiała bardziej niż jakakolwiek inna dziewczyna obawiać się nakrycia przez nauczyciela. Już uniosła bezgłośnie deskę klozetową, żeby wyrzucić peta, gdy usłyszała szept bliżej nieznanego ucznia.

- Obok jest zamknięte. Możemy wejść?

Ada była właściwie pewna, że nikt nie okupuje sąsiedniej kabiny, ale odmowa przeczyłaby wszelkim prawom dżungli. Kiedy odsunęła zasuwkę, drzwi otworzyły się na oścież.

Stali przed nią trzech chłopcy, tak blisko siebie, jakby cała trójka naraz chciała się przecisnąć przez wąski otwór, ale nie ruszyli się z miejsca. Wszyscy trzej wlepiali oczy wabinę jak w otwartą klatkę drapieżnika, jakby przyszli tu specjalnie po to, by narazić się na niebezpieczeństwo ze strony Ady, która być może tylko czyha na ich pierwszy ruch, aby dać ku nim susa. Żaden z chłopaków nie trzymał papierosa w ustach ani za uchem. Pastelowe koszule migotały niczym złudzenie optyczne, trzy pary spiczastych butów podniesionymi dziobami wskazywały rezerwar. Mimowolnie napiąwszy mięśnie pleców, Ada poczuła chłód kafelków na ścianie.

- Ada - spytał najmniejszy z nich, który musiał się wyciągnąć do góry, aby spojrzeć przez plecy stojących przed nim chłopaków - jak tam z twoim nerwem wzrokowym?

W odpowiedzi na to niedorzeczne pytanie nastąpiło trwające kilka sekund milczenie. Chociaż do utarczki z Joe doszło zaledwie przed trzema godzinami, Ada z trudem skojarzyła, o co chodzi. Dla niej przeszłość od razu stawała się przeszłością; to, co się wydarzyło, natychmiast uzyskiwało status nierzeczywistości i wpadało do wielkiej niecki o głębokości kilku metrów, dla której określenie „pamięć” byłoby nazbyt pochlebne. Chodziło tu bardziej o składowisko dowolnych, przeważnie niepełnych, porwanych i zdeformowanych wspomnień, o złomowisko przeszłości, które Ada odwiedzała z wielką niechęcią jedynie wtedy, gdy była zmuszona spenetrować je w poszukiwaniu określonej części, niezbędnej nagle do uzupełnienia obrazu teraźniejszości. To, jak bardzo odległe w czasie było poszukiwane wydarzenie, było ważne tylko o tyle, że jeśli Ada podejrzewała, iż miało ono miejsce w ciągu ostatniego miesiąca, zaczynała grzebać w przedniej części tego śmietnika.

Ale nawet zrozumiałwszy w końcu aluzję, zrezygnowała z odpowiedzi. Pytanie służyło wyłącznie zyskaniu na czasie. Najbardziej zirytowała Adę niepewność jej trzech gości.

Można było się tylko domyślać, skąd ten mały zna jej imię, podczas gdy ona nie wiedziała, jak on się nazywa. Jeśli domysł się potwierdzi, będzie problem, należało więc poczekać i zobaczyć, jak duży jest to problem i jakiego typu. Skierowała wzrok wprost na czoło stojącego najbliżej chłopaka.

Skoro już ten mały wybił się na rzecznika, musiał dalej odgrywać swoją rolę. Dalsze bezczynne wystawanie choćby jeszcze przez chwilę, a potem zwyczajny gest pożegnania,

były już niemożliwe. Wykręciwszy tułów, mały precyzyjnie się między pozostałymi chłopcami i stanął tak blisko Ady, że łokciami mógłby oprzeć się o jej kolana.

- Uczyliśmy się na biologii - powiedział - że w rzadkich przypadkach nerw wzrokowy znajduje się dokładnie tutaj.

Oburącz chwycił Adę za piersi, wystarczająco duże, by nawet ktoś mało doświadczony mógł złapać ich najważniejsze części, i ścisnął je dwa razy. Ada poczuła, że brodawka dostała mu się między palce, tak że z rosnącym obrzydzeniem zamknęła na chwilę oczy i usta. Trudno było w okamgnieniu rozstrzygnąć, co jest bardziej ohydne: sam dotyk czy fakt, że chłopak potrzebował tak dziwacznej przejścia, by przystąpić do dzieła. Ta kwestia stała się obojętna, gdy ją puścił, potoczył się o pół kroku do tyłu i z równie przerażonym co wniebowziętym wyrazem twarzy byłby nieomal wpadł na stojących za nim kolegów. Wyglądał jak ktoś, kto właśnie odniósł największy triumf w swoim życiu.

- Czego chcecie? - spytała.

Nie skrzywiła się i do tego stopnia wstrzymała oddech, że z braku tlenu zaczęło się jej kręcić w głowie.

- Po pierwsze zmiany scenerii - powiedział jeden z pozostałych, wysforował się do przodu i odsunął małego na bok. Trzeci zrobił to samo.

Wzięli ją z prawej i lewej strony pod pachy, zdjęli z rezerwuaru i postawili na nogi. Ada wykorzystała okazję, by niepostrzeżenie zaczerpnąć powietrza. Zaparła się obiema nogami o podłogę, zbyt gładką, by mogła stanowić opór, objęła obu napastników w pasie, wczepiła się każdemu pięcioma palcami w żebra, a gdy to wszystko nie pomogło, odwróciła głowę, aby temu z prawej strony napluć w twarz. Chociaż ślina spływała mu po nosie, uśmiechnął się i wy-

tarł ją kilkoma ruchami głowy o własne ramię. Zdawało się, że chwyt pod żebra nie przeszkadza ani jednemu, ani drugiemu; może adrenalina łagodziła uczucie bólu albo, co byłoby gorsze, podobało się im to, jak Ada rozgniata palcami ich skórę i koszule.

Czuła zapach podnieconych chłopaków, czuła również zapach swojego strachu. Trudno było uwierzyć, że w zwykajne przedpołudnie, w sercu budynku szkolnego, może się jej przytrafić coś naprawdę złego. Mimo to nie mogła nie dostrzec, że ci chłopcy, nie zważając na niemną siłę fizyczną Ady, byli w stanie powlec ją bez trudu ze sobą. Wisiała między nimi jak nieforemny manekin, ciężka, ale nieduża, z nogami, które zakleszczyły się w drzwiach i zostały kopnięte na bok, z rękami, które bez przerwy próbowały się o coś zahaczać.

Mały pierwszy opuścił toaletę dla dziewcząt i pokazując znak zwycięstwa, kiwnął na pozostałych, aby wyszli na korytarz. W przejściu z głównego korytarza do toalet Ada zobaczyła Joe, zobaczyła ją, jak odwzajemnia ów gest zwycięstwa. Zastanawiała się, czy nie zacząć krzyzczeć. Natychmiast przybiegłby jakiś nauczyciel albo kilku uczniów, Ada słyszała głosy ludzi, którzy znajdowali się gdzieś w pobliżu klas. Napastnicy naraziliby się na gniew za nieudany i niezbyt wesoły żart.

Jednak nie krzyknęła. Coś ją powstrzymało, może duma, a może chęć uniknięcia zamieszania. Albo też sprawiła to Joe, która, elegancka i odprężona, stała oparta o narożną ścianę, prowadzącą na korytarz, jakby czekała na przyjaciółkę. Potrząsała skręconymi loczkami i wyglądała tak ślicznie z drobnymi rękoma, stópkami i małym, pewnym siebie podbródkiem, że Ada, wleczona w odległości trzech metrów, poczuła niedorzeczne pragnienie, aby posłać jej uśmiech.

Przetransportowali ją do toalety dla chłopców. Trzymając się przez chwilę klamki, Ada zastanawiała się, czy napastnicy rzeczywiście liczą na to, że szok uniemożliwi ofierze krzyk. Ale nie można było posądzać ich o takie wyrafinowanie. Prawdopodobnie w ogóle o tym nie pomyśleli. Prawdopodobnie to znów przypadek sprawił, że ślepej kurze trafiło się ziarno.

Cuchnęło. Cuchnęło tak, że wiadomo było, iż jakiegokolwiek sprzątanie na nic się tu nie zda. Z rur, z głębi pisuarów i ze wszystkich kątów tego wyłożonego kafelkami pomieszczenia dobywał się odór uryny i czegoś jeszcze gorszego. Dopiero gdy chłopcy postanowili posadzić Adę na jednym z pisuarów, zaczęła się na dobre bronić. Kopniakiem trafiła małego w brzuch, aż odskoczył i przez chwilę stał pochylony do przodu, podczas gdy pozostali wykręcili jej rękę na plecy i tak długo nasilali uchwyt, aż jęknęła i pozwoliła się podnieść na pisuar. Nie sięgała stopami podłogi. Tyłek wcisnął się w miednicę, biodra oparły się o porcelanę, maź kostki zapachowej przeniknęła przez materiał dżinsów. W jednej chwili Ada zaniechała wszelkiego oporu i w prawie majestatycznej pozie zastygła na swoim osobliwym tronie naprzeciw chłopaków.

- I co teraz? - spytała niewzruszonym głosem.

- Teraz zakręcimy ci loczki.

Mały przejął od dwu pozostałych policyjny chwyt na plecach, oni natomiast zaczęli owijać sobie gładkie, półdługie włosy Ady wokół palców, mocno, coraz mocniej, aż do skóry. Włosy wychodziły kępkami, łzy spływały Adzie z kącików oczu po policzkach. Zajęcie sprawiało chłopcom przyjemność, do twarzy ci w tych loczkach, zaraz będziesz wyglądała jak Joe, w rzeczywistości mądrość jest wyłącznie kwestią fryzury. Śmiali się, syczeli przez zęby i strząsali z palców wyrwane włosy. Ada poczuła mdło-

ści, nawet gdyby nie zastosowali tego policyjnego chwytu, nie mogłaby się już dłużej bronić. Łzy paliły w oczach jak morska woda. Mały trzymał jej wykręcone ramię na plecach już tylko jedną ręką, tak że lewą miał wolną, aby niezgrabnie i brutalnie móc uciskać jej piersi.

- Nerw wzrokowy - chichotał - widzisz coś, czego ty nie widzisz.

Tamci dwaj nie zwracali na niego uwagi, obaj nadal zajmowali się włosami Ady.

- Loki się nie trzymają, potrzebujemy lokówki, robisz to celowo.

Kiedy wyglądało na to, że zabawa dobiega końca, mały puścił rękę Ady i rozsunął jej nogi. Z palca wskazującego i kciuka lewej ręki zrobił kółko, które przycisnął do kości łonowej dziewczyny i zaczął przekłuwac trzema palcami prawej ręki. Widzisz to, widzisz to. Dwaj pozostali puścili ją, aby popatrzeć, co mały z nią wyczynia, a robili przy tym miny jak dzieci, które obserwują w zoo pająka ptasznika, pożerającego zdobycz. Potem, jakby ktoś ich nagle zawołał, złapali małego za ramiona, odwrócili go i wybiegli z toalety.

Ada podniosła się z pisuaru, ze wstrętem strząsnęła kamienny osad uryny, który przywarł do jej spodni, i zapłakanymi oczami wyjrzała przez szparę w drzwiach na korytarz. Nikogo nie było widać. Na korytarzu panował spokój, umilkły odgłosy typowe dla przerwy, zaczęła się lekcja. Ada wróciła do toalety dla dziewcząt i oparłszy się o ścianę obok umywalki, skoncentrowała się na odychaniu. Jak po biegu, kiedy człowiek przesadzi. Kiedy zastanawia się, czy pochylić się i wymiotować, wymiotować tylko po to, żeby się dobrze poczuć. Wdech, wydech. Coś takiego szybko mija, atak słabości, znała to z bieźni,

obniżony poziom cukru i brak tlenu. Spokojne oddychanie przywróciło jej siły.

Podeszła wreszcie do umywalki, oparła się rękami o krawędź i przejrzała w lustrze. Nie wyglądała dobrze, ale nie tak źle, jak się spodziewała. Włosy były potargane, jakby całe tygodnie spędziła w łóżku, a skóra głowy piekła niczym po przyżeganiu. Obiema rękami usiłowała wygładzić włosy, jeszcze nie dość długie, by dały się zapleść w warkocz. Twarz nieszczęśliwie ucierpiała, czerwone plamy pojawiły się raczej pod wpływem wzburzenia niż maltretowania. Ada nabrała wody z kranu i roztarła ją o dzin-sy na pośladkach, umyła twarz, zwilżyła włosy i założyła je za uszy. Była prawie jak nowo narodzona.

Takie rzeczy się po prostu zdarzają. Spójrz na świat. Czy rzeczywiście myślałaś, że tego unikniesz? Nie myślałaś tak. Najważniejsze jest, że to mija. Zawsze mija, tak czy owak, jak od niepamiętnych czasów mija bez oporu każda chwila, choćby była nie wiem jak straszna czy piękna.

Ada wmówiła sobie, że matka nauczyła ją w dzieciństwie jednego zdania: żadne wydarzenie nie jest tak złe jak lęk, który je poprzedza. Ona sama zaś dodała do tych słów: Nic nie jest gorsze niż poczucie nienaruszalności, które wy daje człowieka na pastwę jego lęków.

Przez jedną groteskową chwilę Ada była zadowolona z tego, co się stało.